

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 30 (1290)

28 LIPCA 1985 R.

CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Kult św. Anny i jego podstawy ● „Języka polskiego uczył mnie sam Biskup Franciszek Hodur” – wywiad z ks. W. Hyszko z USA ● Niecodzienni goście w ZG STPK ● Powstanie Warszawskie



Dzieci i młodzież z Częstochowy przed siedzibą Zarządu Głównego
Spolecznego Towarzystwa Polskich Katolików

(Reportaż ze spotkania zamieszczamy na str. 8–9)

DZIEWIĄTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z I Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian (10,6—13)

Bracia: Nie pożądamy złego jako oni požądali. I abyście się nie stali bałwochwalcami jak niektórzy z nich, jako napisane jest: Zasiadł lud, by jeść i pić, i powstawszy zaczęli się bawić. Ani też dopuszczajmy się rozpusty, jak niektórzy z nich rozpusty się dopuścili i legło ich dnia jednego dwadzieścia trzy tysiące. I abyśmy nie kusili Chrystusa, jak niektórzy z nich kusili i poginęli od węzów. Ani nie szemrajcie, jak niektórzy z nich szemrali i zginęli z ręki niszczyciela. A to wszystko działo się im jako figura rzeczy przyszłych i napisane jest ku przestrodze dla nas, którzy żyjemy w tych czasach ostatecznych. Przeto kto mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł. Pokusa nie jęła się was inna, jeno ludzka, a wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was ponad wasze siły, ale razem z pokusą da też i wyjście, abyście ją przetrzymać mogli.

Ewangelia według św. Łukasza (19, 41—47)

Onego czasu: Gdy się Jezus przybliżył do Jeruzalem i ujrzał miasto, zapłakał nad nim, mówiąc: Gdybyś i ty poznało i właśnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczyma twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię i ścisną cię zewsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. I wszedłszy do świątyni, począł wyrzucać sprzedających w niej i kupujących, mówiąc im: Napisane jest, że dom mój jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców. I nauczał codziennie w świątyni.

„Uczynili go jaskinią”

Dzisiejszy fragment ewangelii zawiera dwa bardzo charakterystyczne epizody z życia Chrystusa: płacz nad Jeruzolimą, którą czekają straszliwe dni i gniew Zbawiciela spowodowany skandalicznym zachowaniem się niektórych ludzi w świątyni. Obydwie reakcje Chrystusa zasługują na szczegółowe przemyślenia, gdyż uczą właściwej postawy wobec konkretnych problemów jakie niesie życie.

Działo się to w trakcie uroczystego wjazdu Mesjasza do Jeruzolimy. Jezus ujrawszy święte miasto, tętniące życiem i gotujące się na Jego przyjęcie, zamiast cieszyć się, zapłakał. Wydawało się, że nie słyszy okrzyków powitalnych, śpiewów towarzyszącego Mu ludu i dziatwy. Wzrok Zbawiciela, a zwłaszcza Jego myśl wzniosła się ponad rzesze, ponad dachy domów i świątyni. Proroczym Duchem widział Chrystus te same tłumy zawiedzione i gniewne, podburzone przez kapłanów i wołające o Jego Krew! Jakże szybko nastąpi fatalna odmiana. Wystarczy kilka dni i garść pieniędzy rzuconych w odpowiednim momencie. Ale Chrystus nie płacze nad własnym losem. Płacze nad miastem, które tak ukochał, a które na Nim dokona zbrodni Bogobójstwa. Płacze, bo za tę zbrodnię czeka niewdzięczne miasto straszliwa zagłada: „Przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem i oblegną cię i ścisną cię zewsząd. Na ziemię cię powalą i synów twoich, którzy w tobie mieszkają, dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia swego”.

Smutek i łzy na obliczu Zbawiciela świadczą o tym, że ma prawdziwie ludzkie serce. Tak reaguje każdy normalny

człowiek na widok nieszczęścia jakie spada na bliźnich. Nikt jednak nie żałuje zbrodniarzy. Śmierć czy inna klęska wroga wywołuje uczucie ulgi, a nawet radości, zwłaszcza w oczach i sercach ciemionych. Tymczasem Chrystusowi żal współrodaków nawet wówczas, gdy postąpili z Nim tak okrutnie i muszą ponieść karę, by sprawiedliwości Bożej stało się zadość. Tak wielką miłość może okazać jedynie Bóg i ci ludzie, którzy potrafią naśladować Jego boskie serce. Chrystus płacze nad miastem publicznie, by dać szansę odmiany jego mieszkańcom. On tyle razy usiłował zgromadzić wokół siebie współbraci z tego miasta. Może teraz, albo zaraz po dokonanej grzechu Bogobójstwa rodacy zaczęną żałować? Może przejrzą i okażą skruchę za wylanie niewinnej Krwi Mesjasza? Bóg odwlecze karę i czekać będzie na poprawę prawie czterdzieści lat, ale bezskutecznie. Zaszlepieni mieszkańcy Jeruzolimy zbuntują się przeciw wielokroć silniejszym wrogom i z ich rąk doznają pogromu.

Chrystus wjechał w bramy miasta. Opanował rozrzewnienie. Otarł łzy. Kroki swoje jak zawsze kieruje najpierw do świątyni, do Domu Ojca. I cóż tam zastaje? Cały plac przeznaczony do składania ofiar zajęli handlarze. Bankierzy, za zgodą arcykapłana, zajęli miejsca nawet w przedsionkach świątyni. Zamiast śpiewów modlitwnych słychać wszędzie gwar, śmiech ludzi, pokrzykiwania targujących i ryk wylekłego bydła. Takiej zniewagi miejsca świętego nawet pełne cichości serce Mesjasza nie mogło zdzierżyć. Opanował je święty gniew. Gromkim głosem upomniał handlarzy i bankierów: „Napisane jest, że dom mój jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójczą”. Kiedy to nie poskutkowało, zaczął wypędzać sprzedających i kupujących skreconym z powroza biczem. Stoły bankierów poprzewracał i kazał zabrać klatki z gołębiami. Szeroko relacjonuje tę scenę św. Mateusz. Tu grzeszników bezczeszczających świątynię spotkała natychmiast doraźna kara: utrata zysku, wstyd, a może nawet siniec od Chrystusowego bicia. Handlarze mogą jednak mówić o wielkim szczęściu. Im też zostawił Jezus później dużo czasu do zastanowienia się nad niecnymi czynami.

Wydarzenia te są przestrożą dla wszystkich ludzi ocierających się o sprawy Boże. Świętym miastem i świątynią Bożą jest dla chrześcijan przede wszystkim Kościół Chrystusowy. Zbudował go Jezus na fundamencie swego Bóstwa i scementował własną krwią. Świętość nowego — Chrystusowego Kościoła jest więc bez porównania większa niż świątyni na Syjonie — dumy całego narodu wybranego. Chrystus pragnie, by we wszystkich Jego domach modlitwy trwało modlitwne skupienie-cisza lub śpiew ku czci Ojca niebieskiego. Czy jednak ku zgorzeniu świata i oburzeniu naszego Pana nie powtarza się w tych świątyniach i w całym Kościele to, co działo się w Jeruzolimie? Rzućmy okiem na historię Kościoła. Czyż ludzie wielkich przełomów i reform, wypędzając przekupniów z kościoła, nie naśladowali Chrystusa? Sawonarola i św. Franciszek z Asyżu, doktor Marcin Luter i umęczony na stosie Jan Hus, bp Franciszek Hodur i wielu, wielu innych próbowało i nadal próbuje oczyścić Dom Boży z przekupniów.

Jeruzolimą i świątynią bywa również każda ludzka dusza i powinno być ludzkie ciało. „Czyż nie wiecie, że świątynią Boga jesteście i Duch Boży mieszka w was?” — pyta święty Paweł (1 Kor 3,16). Kończąc nasze rozważanie, zastanówmy się nad własnym wnętrzem. Jak widzi je Zbawiciel? Czy nie zamieniliśmy tej Jego świątyni w jaskinię? Szybko bierzmy się za porządk. Póki mamy czas dany nam przez Boga, zmieńmy nasze serce na godne mieszkanie Ducha Bożego. Jeśli okażemy gorliwość o naszego ducha, naszej wiary nie obali żadne siła.

Ks. A.B.



Kult św. Anny

i jego podstawy

Oprócz oddawania najwyższej czci Bogu w Trójcy Jedynemu — stosownie do nauki i praktyki Kościoła — oddajemy również cześć aniołom i świętym. Czynimy tak dlatego, że według powszechnie przyjętego przekonania ludu Bożego, są oni wiernymi sługami i przyjaciółmi Pana Boga. Mamy tutaj oczywiście na myśli „świętych wybitnych” w odróżnieniu od przeciętnych, którymi są wszyscy usprawiedliwieni, a więc ci, którzy zesłali z tego świata w stanie łaski uświęcającej. Chodzi więc tutaj o takich ludzi, którzy jako bohaterowie religijni (męczennicy) stali się wzorem do naśladowania, lub też w szczególniejszy sposób (przez swoją naukę i przykład codziennego życia) przyczynili się do rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi. Nie koniecznie i nie zawsze muszą to być święci kanonizowani. Bowiemy bardzo często oddajemy cześć ludziom uznanym za świętych przez zgodną opinię całego świata chrześcijańskiego.

Nie będzie chyba od rzeczy przypomnieć, że chociaż Objawienie Boże nie zaleca wprost oddawania świętym czci, to przecież na pewno jej nie zabrania. Bowiemy dany kiedyś Izraelitom zakaz zawarty w słowach: „nie czyni sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i do tego, co jest w wodzie” (Wj 20,4), odnosi się do oddawania przez nich czci boskiej figurom i obrazom, na sposób pogański.

Warto również pamiętać, że nie wszyscy święci zajmują w hierarchii wybrańców Bożych jednakowe miejsca. Szczególniejszej bowiem czci doznają ci, którzy odegrali wybitniejszą niż pozostali rolę w realizacji boskiej ekonomii zbawienia. Wymienić wśród nich należy: matkę Jezusa Chrystusa według ciała — Najświętszą Maryję Dziewicę, opiekuna i wychowawcę Jezusa — św. Józefa oraz poprzednika Chrystusowego — św. Jana Chrzciciela. Oprócz wyżej wymienionych (już w starożytności chrześcijańskiej) szczególniejszej czci doznaje także św. Anna. Zasadniczą zaś tego przyczyną jest fakt, że według tradycji pierwszych wieków Kościoła — była ona matką Maryi, a więc babką Jezusa Chrystusa jako człowieka. Może więc mam uprosić u Boga więcej, niż każdy inny święty. Wyrazem czci dla tej wielkiej Patronki oraz przekonania o jej orędownictwie u Boga są słowa starożytnej pieśni, w której powtarzamy między innymi:

*„Czynimy świętej Annie dzięki nieustannie
Za jej wielkie dary.
Które nam rozdała, morze łask rozlała.
Na ludzi bez miary;
Anna w każdym czasie za nami wstawia się
I Boga nam błaga.
Człowieka ratuje, nim się opiekuje,
Ubogich wspomaga”.*

Stąd też w niniejszym opracowaniu postaram się — pokrótce przynajmniej — przedstawić naszym Czytelnikom podstawy kultu św. Anny, jako matki Bogarodzicy.

* * *

Ewangelie kanoniczne ani też pozostałe księgi nowotestamentowe, nie przekazały nam o św. Annie żadnych wiadomości. Nie wymieniają nawet jej imienia. Milczenie ksiąg biblijnych stara się jednak wypełnić obfita w tym względzie literatura apokryficzna, już od pierwszych wieków istnienia Kościoła. Wymienić w niej należy chociażby takie księgi, jak: powstała około roku 150 — „Protoewangelia Jakuba”, napisana w VI wieku — „Ewangelia Pseudo-Mateusza” czy wreszcie datowane na VIII wiek — „Księgi narodzenia błogosławionej Maryi Panny i dzieciństwa Zbawiciela”. We wspomnianych wyżej utworach spotykamy liczne szczegóły o matce Najświętszej Dziewicy, św. Annie. Według nich Anna pochodziła z Betlejem z rodziny kapłańskiej, a rodzice jej mieszkali później w dzielnicy Bezetha w Jerozolimie. Jej mężem został św. Joachim. Jest w nich również mowa o ich licznych cnotach i modlitwie, o ich tęsknocie za upragnionym dziećciem, które ślubują przeznaczyć na służbę Bożą w świątyni jerozolimskiej oraz o anielskiej zapowiedzi i narodzeniu Maryi. Są to zresztą jedyne źródła wiadomości w tym względzie.

Relacje pisarzy Kościoła wschodniego, pojawiające się w epoce znacznie późniejszej i zdające się w znacznej mierze pozostawać pod wpływem apokryfów, nie są w stanie potwierdzić prawdziwości przytaczanych szczegółów. A chociaż niektóre z nich są same w sobie fałszywe, przecież byłoby niemal zuchwalstwem zaprzeczać im zupełnie. Bowiemy równie trudno je udowodnić, jak i z całą pewnością oddzielić fakty historyczne od legendarnych dodatków.

Więcej bowiem, niż z zawartych w pismach Ojców Kościoła wschodniego opowiadaniach w tym względzie — z których niekiedy trudno wyłuskać ziarno zawartej w nich prawdy — o wysokiej świętości rodziców Maryi zapewnia nas powołanie, jakie wyznaczyła im Opatrzność i przekonanie całego Kościoła powszechnego. I rzeczywiście. Bo też wszystkie pokolenia wyznawców Chrystusa powtarzały na chwałę Joachima i Anny słowa mówiące więcej, niż najobszerniejsze opisy pisarzy pierwszych wieków. Słowa te, pochodzące z kazania Jezusa na górze, brzmią: „Po ich owocach poznacie ich” (Mt 7,16).

Te same racje stosowności przemawiają za przyjęciem przekazu tradycji mówiącej, że Joachim i Anna — będąc już w podeszłym wieku — gorącą modlitwą wyjednali sobie przyjście na świat „błogosławionego dziećcia”, którego pojawienie się było zapowiedzią rychłego przyjścia Zbawiciela. Takie przekonanie narastało coraz bardziej przez wieki w całym Kościele, formując równocześnie coraz żywszy kult matki Bożej Rodzicielki.

W europejskiej literaturze religijnej wspomniane już epizody z życia św. Anny pojawiły się w XIII wieku, pod wpływem apokryfów. W związku z tym powstały na Zachodzie nowe legendy, dotyczące matki Bogarodzicy. Znalazły one odbicie głównie w dziele Wincentego z Beauvais „Zwierzciadło historyczne” oraz w powszechnie znanej „Złotej legendzie” Jakuba de Voragine.

Jedną z nich w ten sposób rozszerza opowiadanie „Protoewangelii Jakuba”, że po śmierci Joachima przypisuje Annie dwukrotne jescze, obdarzone potomstwem małżeństwa. Miały z nich pochodzić wspomniane w Ewangeliach kanonicznych: Maria Salome i Maria Kleofasowa. Temat ten poruszali później tacy jescze teologowie, jak Piotr Lombard i Albert Wielki. Jednak tę osobliwą hipotezę o kolejnych małżeństwach Anny zdecydowanie odrzucali Tomasz z Akwinu i Suarez. Natomiast inna legenda głosi, że doczesne szczątki św. Anny — pogrzebane początkowo w jej domu w Jerozolimie — w VIII wieku przeniesione zostały do Konstantynopola. Inna jescze (związana z tzw. „cyklem Łazarza”) utrzymuje, że przeniesiono je do miejscowości Apt w Prowansji, w południowo-wschodniej Francji, co niczym nie jest uzasadnione.

Ślady kultu św. Anny spotykamy w Kościele wschodnim stosunkowo wcześniej. Bowiemy już w VI wieku — jak dowiadujemy się z przekazów historycznych — wzniesiona została w Konstantynopolu świątynia pod jej wezwaniem. Inna, jej poświęcona budowla sakralna istniała w Jerozolimie, w miejscu jej rzekomego grobu. Na Zachodzie natomiast przejawy czci św. Anny spotykamy nieco później, gdyż dopiero w VIII wieku. Miało to być może związek z dziełami przedstawicielami Kościoła wschodniego, którzy w tym okresie zasiadali na stolicy biskupiej w Rzymie. Tak przynajmniej podają nowsi hagiografowie św. Anny.

Kościół powszechny uświęcił wywodzącą się z Jerozolimy tradycję, według której Anna jest matką Maryi Dziewicy. Dokonał tego, aprobując powstałe w starożytności chrześcijańskiej ku jej czci hymny greckie i homilie Ojców Kościoła, a następnie jej kult publiczny. Samo jednak święto obchodzono w różnych terminach. Na Wschodzie przypadało bowiem 25 lipca, 9 września lub 9 grudnia. Natomiast na Zachodzie uroczystość ta ustalona została na dzień 26 lipca. W średniowieczu kult św. Anny rozszerzył się bardzo na Dolnym Śląsku, gdzie do dziś dochowało się około 50 świątyni i kaplic pod jej wezwaniem. Najbardziej chyba znana jest świątynia wzniesiona ku jej czci na Górze św. Anny (Śląsk Opolski), wokół której pamiętne boje — o przyłączenie tych ziem do Polski — toczyli powstańcy śląscy.

Doznaje też św. Anna czci w uznających tradycję pierwszych wieków Kościoła starokatolickich. Stąd pod datą 26 lipca uwzględnią jej święto również kalendarz liturgiczny Kościoła Polskokatolickiego. Specjalnej czci doznaje też św. Anna w naszych parafiach w Białsku Białej i w Długim Kącie.

Ks. JAN KUCZEK

wywiad z ks.

WALTEREM HYSZKO

z USA

„Lepiej późno niż wcale” mówi stare polskie przysłowie. I rzeczywiście, wielokrotnie się sprawdza. Odnieść je także można do wizyty w naszym kraju ks. Waltera Hyszko — kapłana Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA. Od najmłodszych lat ks. Hyszko marzył o zobaczeniu na własne oczy Ojczyzny swych rodziców, gdyż sam urodził się już na ziemi amerykańskiej. I oto teraz marzenie jego życia spełniło się. Pewnego pięknego, majowego dnia ks. Walter wraz z małżonką Zofią wylądował na lotnisku „Okęcie” w Warszawie.

W pierwszych dniach swego pobytu w Polsce ks. Hyszko odwiedził również i naszą Redakcję, gdzie przy filiżance kawy podzielił się swymi wrażeniami, jako że po raz pierwszy był — jak sam to określił — „między swoimi, na polskiej ziemi”.

— Aż trudno uwierzyć, że Ksiądz urodził się w Ameryce, a nie w Polsce, gdyż znakomicie posługuje się Ksiądz językiem polskim.

— W Polsce urodzili się moi rodzice, a ja już na ziemi amerykańskiej w mieście Pawtucket, w najmniejszym stanie Rhode. Rodzice pochodzili z Bażanówki. Próbowałem odnaleźć tę miejscowość na mapie Polski i znalazłem. Może ktoś jeszcze z mojej rodziny żyje w Bażanówce, może zostali jacyś krewni. Mam zamiar koniecznie tam pojechać i zobaczyć miasteczko urodzenia moich kochanych rodziców. Cieszę się, że moja polska mowa jest dla Was zrozumiała, ale muszę się pochwalić, że miałem znakomitych nauczycieli: moją mamę i biskupa Franciszka Hodura. Moja ukochana mama osierociła mnie, jak miałem 5 lat (brat miał wówczas pół roku). To ona właśnie nauczyła mnie wielu polskich pieśni, m.in. „Płynie Wisła, płynie po polskiej krainie”. Wyobrażałem sobie, jaka ta Wisła musi być piękna i marzyłem o tym, żebym mógł ją kiedyś w życiu zobaczyć. Mama mówiła mi zawsze: „Pamiętaj, synku, jeśli będziesz o coś gorąco prosił Boga, to Pan Bóg wysłucha cię i wszystko się spełni, o co poprosisz”. To prawda, bo moje marzenie się spełniło. Pan Bóg wysłuchał mojej prośby i oto widzę, oglądam na własne oczy Wisłę i moją Polskę. Również mój ojciec, który dożył sędziwego wieku (zmarł przeżywszy 95 lat) mawiał często: „To jest nasze marzenie, żeby ktoś z naszej rodziny, z Ameryki, mógł zobaczyć Polskę — ten nasz Kraj”. Urzeczywistniłem więc nie tylko swoje marzenie, ale i marzenie mojej matki oraz mojego ojca. Co do znajomości języka polskiego, to w arkana kunsztu językowego wprowadził mnie sam biskup Franciszek Hodur, który uczył mnie mowy ojczystej.



Ks. Walter Hyszko podzielił się z dziećmi swymi wrażeniami z pobytu w Polsce, wyrażając zadowolenie, że może uczestniczyć w tak miłym spotkaniu w siedzibie Zarządu Głównego STPK

— Jak nam wiadomo, święcenia kapłańskie przyjął Ksiądz z rąk Organizatora Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, biskupa Franciszka Hodura.

— Tak. Jestem z tego bardzo dumny. Od tej radosnej dla mnie chwili minęło już ponad pół wieku. Pamiętam dokładnie: było to 7 lipca 1934 roku.

— W ubiegłym roku chętnie wzięł Ksiądz złoty jubileusz kapłaństwa. Prosimy przyjąć z tej okazji nasze serdeczne gratulacje.

— Dziękuję bardzo. Muszę tu dodać, że już od 4 lat jestem na emeryturze.

— Czy pamięta Ksiądz swoją pierwszą parafię?

— Oczywiście. Pierwsza moja parafia była w Wallingford, Connecticut. Ostatnia zaś, w której duszpasterzowałem przez 26 lat, mieszcała się w Manchester, Connecticut i była pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela.

— Kiedy odczuł Ksiądz powołanie do stanu kapłańskiego?

— Zauważyła to już moja droga mama. Powiedziała kiedyś do mnie te oto słowa. „Jeśli zechcesz być księdzem, zostaniesz nim, synku! Proś tylko o to Pana Boga”. Pamiętam, że zwierzyłem się ze swego zamiaru zostania kapłanem biskupowi Franciszkowi Hodurowi. Kiedy po raz pierwszy ks. Franciszek Hodur (jeszcze nie był wtedy biskupem) przyjechał do naszej miejscowości, ojciec usłyszał jego polską mowę i pragnął z nim rozmawiać. Miałem wówczas 14 lat, kiedy zobaczyłem Organizatora Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego. Na moje słowa, że pragnę bardzo zostać kapłanem, odpowiedział: „Wierzę, że zobaczymy się w Scranton”. Następnie udałem się do ks. Janika i tak oto rzeczywiście odnalazłem swoją drogę życiową w seminarium scrantońskim.

— Jest Ksiądz nie tylko kapłanem, ale i poetą...

— Pisanie to moje hobby i pragnienie mego serca. Uczęszczając jeszcze do szkoły

publicznej zajmowałem się sztuką pisarską, poetycką. Nie wiem, na jakim to było wówczas poziomie, ale pisałem. Pisałem nawet podczas lekcji. Nauczycielka pytała mnie nawet, czy chcę w przyszłości być redaktorem poezji. Pisałem wiele do czasopism, tworzyłem swoją poezję. Ukazał się nawet tomik mojej poezji (w jęz. polskim i angielskim) pt. „Oda”. Wydanie tej książki zawdzięczam głównie ks. sen. Orzechowi i ks. bp. Zielińskiemu. Współpracowałem wiele z Redakcją w Scranton.

— Wziął Ksiądz udział w spotkaniu z młodzieżą częstochowską w siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa Polskich Katolików.

— Cieszę się, że po przyjeździe do Polski miałem szczęście trafić na takie właśnie spotkanie. Podziwiam ogromną inicjatywę Prezesa Zarządu Głównego Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików bpa Wiktora Wysoczańskiego, który pracę z młodzieżą stawia na pierwszym planie w swojej działalności. Bo przecież młodzież to nasza przyszłość. Było to naprawdę mile spotkanie. Dzieci ledwie co pomieściły się w sali. Ile było osób?

— Była to około 50-osobowa grupa młodzieży z Częstochowy. Jest nam szczególnie miło, że mogliśmy gościć Księdza w naszych „redakcyjnych” progach Instytutu Wydawniczego. Jeśli Ksiądz pozwoli, przytoczę tu „wpis” do Księgi Pamiątkowej naszego Instytutu, który Ksiądz był łaskaw złożyć.

— Bardzo proszę i jeszcze raz tego samego życzę, co napisałem: „Moja pierwsza wizyta w Polsce. Z głębokim natchnieniem składał serdeczne życzenia, aby Łaskawy Bóg błogosławił dalszą pracę i rozwój Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego”.

— A my dziękujemy staropolskim: „Bóg zapłać”

Rozmawiała: MALGORZATA KAPINSKA

Obchody 3 maja. Jak każdego roku, wyznawcy PNKK byli godnie reprezentowani w tradycyjnym pochodzie trzeciomażowym, który przeszedł ulicami Chicago, największego po Warszawie skupiska Polaków w świecie. W barwnym korowodzie „rydwanów”, orkiestr dętych i zespołów ludowych reprezentujących liczne w tym mieście organizacje polonijne, „narodowcy” wystąpili w pięknych polskich strojach ludowych. Koordynatorami tegorocznego pochodu byli duchowni PNKK, ks. Józef Kobylarz i ks. Marcin Wachna. Przez dwie godziny paradę transmitowała telewizja. Pochody z okazji 3 maja odbywają się również w innych dużych ośrodkach polonijnych w USA.

Większość wyznawców PNKK opowiada się za utrzymaniem ścisłej więzi z Polską i Kościołem Polskokatolickim. Według badań przeprowadzonych w Diecezji Zachodniej PNKK przez ks. Zbigniewa Kaszubskiego, najczęściej odpowiedzi pozytywnych na ten temat uzyskano od osób najmłodszych (73%), emerytów (70,5%), studentów (70%), i osób z wykształceniem podstawowym (68,7%), najmniej zaś od osób w wieku 35—55 lat (50,4%), niepracujących (43,3%), i osób ze stopniem doktora (40%). Wyniki należy jednak potraktować jedynie orientacyjnie, gdyż ankiety wypełnili przeważnie ludzie etnicznie aktywni, względnie mający sporo wolnego czasu (emeryci). Stąd też spośród 500 respondentów ponad

70% odwiedziło Polskę przynajmniej raz, podczas gdy wśród ogółu wyznawców wskaźnik byłby o wiele niższy. Prawie połowa (48%) respondentów liczyła 55 lat i więcej, a zaledwie 5 osób miało stopień doktora.

Okolo 1000 członków liczy PAHA, Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Historyków (Polish-American Historical Association). Organizacja ta powstała w 1942 r. z inicjatywy znanych historyków Oskara Haleckiego i Mieczysława Haimana jako jeden z wydziałów Polskiego Instytutu Nauk, stając się odrębną jednostką pod obecną nazwą w 1948 r. Ogólnym celem PAHA jest wzbogacanie amerykańskich nauk historycznych tematyką polską, zarówno historią Polski, jak i wkładem Amerykanów polskiego pochodzenia w rozwój USA. Na niedawnym zjeździe PAHA ustępujący prezes dr Tadeusz Gromada stwierdził, że „od samego początku organizacja ta odrzucała asymilacyjną teorię „tygla”, wobec której etniczna świadomość polsko-amerykańska stanowi bogatą alternatywę. Według wspomnianej teorii, imigranci powinni się wyzbyć swoich cech narodowych i roztopić się w przysłowiowym „tyglu”, z którego ma się wyłonić „nowy człowiek amerykański”. Obecnym prezesem PAHA

jest dr Tadeusz Radziałowski, profesor historii na Stanowym Uniwersytecie Południowo-Zachodnim w stanie Michigan.

„**Józefinki**” to nazwa popularnej wśród Polonii amerykańskiej zabawy, organizowanej ok. 19 marca dla uczczenia licznych (zwłaszcza w starszym pokoleniu Polonusów) Józef, Józefin i Józefów. Jak większość polonijnych imprez towarzyskich, „Józefinki” organizują parafie (zarówno polsko-narodowe, jak i rzymskokatolickie) oraz kluby polsko-amerykańskie. Jest polska kuchnia (do ulubionych wśród Polonii potraw należą: gołąbki, kielbasa z kapustą i pierogi) i obowiązkowo kilku muzyków przygrywających do tańca polki, oberki i walce. Coraz częściej organizuje się „Józefinki” połączone ze świętem Patryka (17 marca), patrona licznych w USA Irlandczyków. Z ankiet przeprowadzonych w Zachodniej Diecezji PNKK (Chicago i okolice) wynika, że 3,2% spośród 500 respondentów jest pochodzenia irlandzkiego.

Twórcy najpopularniejszego komputera domowego, Steve Woźniak, jest uosobieniem zarówno amerykańskiej legendy sukcesu, jak i zjawiska przysłowiowej „wody sodowej” bijącej niektórym do głowy. Majsterkując we własnym garażu w Kali-

fornii, Woźniak opracował nieduży komputer, który wkrótce podbił rynek, i założył własną firmę pn. „Apple Computer Corporation”. Na stosunkowo niedrogim komputerze marki „Apple” uczniowie odrabiali lekcję, a gospodynie domowe organizowały swe budżety rodzinne. Choć Woźniak stał się multimilionerem, wkrótce pokłócił się ze współnikami, co do kierunku dalszego rozwoju firmy. Wynałzca polskiego pochodzenia poróżnił się też z własną rodziną, gdy stracił parę milionów dolarów na sfinansowanie ekstrawaganckich festiwali rockowych dla młodzieży. Tym niemniej barwna, acz kontrowersyjna postać, doczekała się już biografii pt. „WOZ”. Tak bowiem powszechnie nazywają Woźniaka jego znajomi.

Sig Sakowicz należy do najpopularniejszych osobistości na falach eteru w Las Vegas. Od 12 lat Sig (Zygmunt) prowadzi program telewizyjny „Superstar”, pisuje recenzje, a ostatnio zainicjował nową audycję radiową pt. „Gorąca linia z Las Vegas”. Komentator polskiego pochodzenia przez długie lata miał własne audycje w Chicago, zanim nie przeniósł się do oddalonego o 4 tys. km Las Vegas (miasto zbudowane na pustyni).

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (1965)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

S

grzechu i proś Pana, a może ci odpuści twój zamiar. Bo widzę, że jesteś złością gorzką i wiązką nieprawości. A Szymon odpowiedział: Módlcie się za mną do Pana, aby nie spotkało mnie nic z tego, coście powiedzieli” (VIII, 13—24). Działanie symoniczne jest obustronnie przestępstwem moralnym, religijnym, czyli — grzechem.

Synagoga — (gr. synagogy=dom zgromadzenia, zgromadzenie, zebranie; hebr. bejt ha-kneset) — to w judaizmie dom modlitwy, zwany po polsku również — bożnicą. Synagoga to miejsca modlitwy, wykładu Prawa Mojżeszowego, którego przepisy i wyjątki Starego Testamentu przechowywane są w specjalnej skrzyni (hebr. tebah), przed którą palono lampę oliwną, ale nie składano tu — w synagogach — ofiar, gdyż temu celowi służyła jedynie świątynia jerozolimska.

Synaj — (hebr. Sina) — to nazwa: górzystego półwyspu w połud.-zachodniej Azji, rozciągającego się między zatokami Akaba (Morze Czerwone) a Sueską — w Egipcie; a również góry, na której — jak to podaje Pięcioksiąg czyli Pentateuch Mojżeszowy (— Biblia) Bóg-Jahwe zawarł przymierze z — Mojżeszem i na której przekazał Mojżeszowi — Dekalog, czyli dziesięć przykazań.

Synaksarium — (gr.) — to w Kościołach prawosławnych (w Kościele Wschodnim) nazwa księgi liturgicznej i sama księga, przedstawiająca życiorysy świętych według dni, w których święci ci kościelnie są czczeni. To wschodnie synaksarium podobne jest do — martyrologium Kościoła Rzymskokatolickiego, lub Zachodniego.

Synaxis — (gr.=zebranie, zgromadzenie; łac. congregatio) — to wyraz oznaczający przede wszystkim u Ojców greckich

zebranie wiernych w celu uczestniczenia w nabożeństwie, zwłaszcza we Mszy św., również samo nabożeństwo, jako też Komunię św. U niektórych mistyków termin ten równa się takim pojęciom, jak: skupienie wewnętrzne, zjednoczenie z Bogiem, stan wysokiej kontemplacji.

SynceLOWIE — (gr.) — to nazwa — tytuł głównie w Kościele Wschodnim duchownych, pełniących przy biskupie najważniejsze funkcje kościelne, i będących jego przybocznymi doradcami. Pierwszy wśród nich nosił miano protosyncela. W Kościele Zachodnim, Łacińskim, synceLOWIE nigdy nie mieli tak wysokiej pozycji i ta nomenklatura nie przyjęła się.

Syndereza — albo syntereza — → sumienie.

Synergizm — (gr. synergein=współdziałać, współpracować) — jest terminem używanym zarówno w filozofii, w medycynie (zwłaszcza w fizjologii i farmacji), jak i w teologii. W teologii dotyczy problemu możliwości czy niemożności współdziałania z Łaską, czyli z Bogiem, człowieka w osiągnięciu przez niego zbawienia. Stanowisko w tej sprawie teologii katolickiej ujmuje hasło — Łaska. W teologii natomiast protestanckiej wyróżnia się m.in. przede wszystkim poglądy — Marcina Lutera i — Filipa Melanchtona. Pierwszy głosił tzw. monergizm, którego istotę stanowi przekonanie czy mniemanie, że wszelkie dobro, wszelkie tzw. czyny zasługujące, a więc i ostateczne zbawienie człowieka po jego śmierci zależą wyłącznie od Boga. Natomiast Melanchton i jego zwolennicy i wyznawcy uczyli, że człowiek, obdarzony przez Boga wolną wolą może ale i jest zobowiązany, czyli musi w zakresie swojego usprawiedliwienia, w konsekwencji — zbawienia, współdziałać, współpracować z łaską Bożą, z Bogiem.

Z zagadnień dogmatyki katolickiej

Religia objawiona

Najświętszą naukę zaczęliśmy od omówienia fundamentalnych pojęć takich jak wiara, religia, teologia itp., które stale przewijając się będą w naszych gawędach. Przed tygodniem określiliśmy zakres terminu religia — i wiemy, że jest to nauka o Bogu i żywa łączność człowieka ze Stwórcą. Ponieważ Boga możemy poznać siłami naturalnymi: rozumem i sercem, wytworzona na tej bazie religia nosi miano religii naturalnej. Rozum ludzki potyka się i błądzi. Myli się również sfera uczuciowa, której symbolem i uosobieniem jest ludzkie serce. Jeśli pomyłki zdarzają się w dziedzinie wiedzy materialnej, to w dziedzinie duchowej błędów może być więcej. Religie naturalne są nimi nasycone. Ludzie czcili i wciąż do dziś w różnych zakątkach naszego globu siły przyrody: słońce, wiatry i deszcz, a nawet zwierzęta i posagi uczynione ludzką ręką. Kapitałnym przykładem jest mitologia egipska, grecka i rzymska.

Mimo wielu błędów religii naturalnych nie należy lekceważyć.

gdyż bywają one świadectwem tęsknoty człowieka za prawdą i dobrem, których pełnia jest w Bogu. Bóg, który obdarzył nas rozumem, bardzo wysoko ceni każdy wysiłek swego stworzenia na drodze do poznania prawd świętych. Błądzącym umysłem podawał i stale podaje pomocną dłoń oraz nie żałuje swego światła, by mogły dojść do poznania prawd świętych. W wielu kościołach przed kazaniem śpiewa się wierszowaną prośbę właśnie o te dary boże: „Duchu Święty, daj natchnienie i rozumu oświecenie, do słuchania słowa Twego, do serc naszych mówiącego”. Z natchnienia bożego powstało całe Pismo święte. Będziemy szerzej mówić o tym działaniu Boga przy sprawach biblijnych.

By wyeliminować błędy z religii naturalnej i podać człowiekowi czystą prawdę w takiej formie, jaką może przyjąć duch ludzki, Bóg przemawiał do ludzi albo osobiście, albo przez swoich aniołów przybierających postać człowieka. Najczęściej jednak wysłannikami Boga do społeczności byli wybrani ludzie pouczeni przez Stwórcę, co mają mówić współrodakom czy nawet członkom innych narodów. Tak na przykład Jonasz musiał iść do stolicy znieprawionych najeźdźców i głosić tam pokutę, chociaż wolałby widzieć wrogie miasto w gruzach, zniszczone za zbrodnie przez Boga. Ludzi głoszących wolę Boga i przekazujących Jego pouczenia zwiemy prorokami.

Najwięcej prawd Bożych opowiedział nam Stwórca przez swojego Syna Jezusa Chrystusa. Któż lepiej, jak nie Bóg w ludz-

kim ciele mógł wyjaśnić święte prawdy, zwłaszcza te, których umysł ludzki ani ludzkie serce nigdy nie mogłyby przeniknąć? Olbrzymie obszary życia bożego pozostałyby na zawsze nieznanne, gdyby nie dobroć Boga, który zechciał nam tak dużo o sobie opowiedzieć. Nie tylko o sobie! On opowiedział również o naszym początku i celu naszego życia. To wszystko, co Bóg opowiedział ludzkości nazywamy religią objawioną. Już w raju pierwsi ludzie mieli religię objawioną, bo Bóg przekazał pierwszym rodzicom wiele prawd przekraczających ludzkie pozna-

nie. Okruchy tych prawd rozsiane są niemal we wszystkich religiach świata i z tej właśnie racji powinniśmy z szacunkiem i życzliwością odnosić się do wszelkich wier. Jak umysł dziecka powoli rozwija się i nie może wszystkiego pojąć od razu, tak również przez wieki kształtuje się cała ludzkość. Jeszcze dziś na ziemi odkrywamy narody, czy raczej plemiona prymitywne, żyjące gdzieś w lasach nad Amazonką czy w górzystych terenach Nowej Zelandii. Bóg dostosował objawienie do pojemności ludzkiego umysłu i serca. Nie powiedział wszystkiego już w raju. Działał jak mądry pedagog. Najpierw pouczał ludzi o sprawach prostszych, a dopiero później poszerzał zakres i głębię objawianych prawd. Pełnię potrzebnych nam do życia religijnego i do zbawienia prawd i obowiązków przekazał, jak już wyżej wspominałem — przez własnego Syna Jezusa Chrystusa. Apostoł Paweł pisze w Listach do Hebrajczyków: „Wielokrotnie i wieloma sposo-

bami przemawiał Bóg dawnymi czasami do ojców przez proroka. Ostatnio, u kresu tych dni, przemówił do nas przez Syna, którego ustanowił dzieckiem wszechrzeczy”.

Pan Jezus wiedział, że nie będzie żył długo na ziemi, a ktoś musi głosić dalej religijne prawdy wszystkim przyszłym pokoleniom, wybrał więc z grona wszystkich słuchaczy gromadkę wiernych uczniów i nakazał im nieść prawdy boże do wszystkich ludzi świata: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody... zachowywać wszystko, cokolwiek wam powiedziałem”. Strażnikiem prawd objawionych uczynił Zbawiciel cały swój Kościół, a zwłaszcza jego przełożonych czyli biskupów i kapłanów. Z tymi, którzy głoszą czystą naukę Bożą, jest sam Zbawiciel: On powiedział: „Gdzie się zbierze dwóch albo trzech w Imię moje, tam i ja jestem między nimi”. Jezus pozostał swoim Duchem w Kościele po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Religia chrześcijańska mimo powstałych w ciągu wieków podziałów zawiera pełnię prawd objawionych. Nie znaczy to, że dziś Bóg nie może przemawiać bezpośrednio do wybranych ludzi. Duch boży tchnie, kędy chce. Nie wolno nam jednak dodawać ani ujmować niczego w sprawach wiary. Kościół natomiast jest zobowiązany do tego, aby prawd wiary objawionych przez Boga w Starym i Nowym Testamencie pilnie strzec, podawać je do wierzenia i wyjaśniać w sposób dostępny swym wiernym.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (1966)

Syngramma — to tytuł grecki pisma znanego teologa luterńskiego — Jana Brenza, zaaprobowanego i podpisanego przez 14 teologów protestanckich w 1525 roku w Halle, a przeciwstawiającego się pogładowi o Eucharystii → Zwingli'ego i jego zwolenników, uzasadniającego natomiast słuszność poglądu o Eucharystii — ks. Marcina Lutera. Zwingli głosił i nauczał, że słowa Jezusa Chrystusa: „To jest Ciało moje...” mają znaczenie jedynie symboliczne i przypominają Jego Mękę i Śmierć. Natomiast Brenz usiłował udowodnić w tej pracy słuszność poglądu Marcina Lutera, a mianowicie, że Jezus Chrystus jest rzeczywiście obecny w Eucharystii, w Komunii św., w chwili przyjmowania Jej, w chwili Jej spożywania przez wiernego czy wiernych, ale współobecna też jest istota chleba, jako też istota wina (co po łac. zostało nazwane: → impanacją lub konsubstancją).

Synkretyzm — (gr. synkrytidzejn — w pierw. oznaczało = łączyć się tak jak Kreteńczycy łączyli się przeciw wspólnemu wrogowi) — to termin pochodzenia greckiego, oznaczający pierwotnie, jak to zaznaczono w parantezie, łączenie się, czyli sojusz, związek, przymierze gmin kreteńskich przeciw ich wspólnemu wrogowi, później i współcześnie oznaczał i oznacza przenośnie nazywanie łączenia czy usiłowanie łączenia różnych, na ogół przeciwstawnych sobie, elementów, poglądów. I tak np. w historii filozofii synkretyzm oznaczał i oznacza łączenie ze sobą i tworzenie jakby nowego spojrzenia, twierdzenia, a nawet w jakimś stopniu i w jakiejś mierze kierunku niektórych elementów platonizmu, gnostycyzmu, gradualizmu i in. w neoplatonizm, emanacjonizm itd., chociaż są one sprzeczne z niektórymi twierdzeniami tych ostatnich (→ eklektyzm, który w przeciwstawieniu do synkretyzmu, jest czerpaniem, wybieraniem różnych twierdzeń z przyszłości, ale nie przeciw-

stawnych sobie, i tworzeniem z nich syntezy poglądu, czy poglądów — innych twórców, nie autora, wybieracza, eklektyka, którego rola polegała i polega na umiejętnym połączeniu wybranych twierdzeń, tekstów, zdań i tworzenia w ten sposób więcej czy mniej spójnej nowej całości. Natomiast w teologii, w religioznawstwie, synkretyzm oznaczał głównie pod koniec tamtej i na początku naszej ery łączenie w jedno ogólne pojmowanie i realizację poglądów i praktyk różnych religii, głównie dawnych Greków, Rzymian, Egipcjan, Persów itd. i skupianie ich wokół jednego z bogów, najważniejszego w danym regionie, czy kraju, czy wokół najważniejszych wierzeń — mimo istnienia zarówno wśród mnóstwa bogów i mnóstwa wierzeń, poglądów i praktyk, niektórych wierzeń i poglądów sprzecznych ze sobą, niektórych bożków przeciwstawnych sobie. Później niektórzy chcieli też synkretyzmem — powiedzmy religijnym czy teologicznym, czy może i kościelnym — nazwać pragnienia i usiłowania zjednoczenia ze sobą np. protestantyzmu, a również prawosławia z katolicyzmem, albo też tych i innych Kościołów z Kościołem Rzymskokatolickim.

Synod — (gr. synodos = zebranie, zjazd, zgromadzenie) — to termin i instytucja zarazem, których treść i jej zasięg, czy zakres, zmieniały się w ciągu wieków istnienia i rozwoju czy różnicowania się chrześcijaństwa, ściślej Kościołów chrześcijańskich i katolickich. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a więc Kościoła nie podzielonego, synod oznaczał zgromadzenie w pierw. bliżej nie określonego, potem — zwłaszcza kiedy powstawać zaczęły diecezje i metropolie, czy vice versa — określonego terenu biskupów, kapłanów, zaproszonych laików, później tylko biskupów i zaproszonych teologów nie biskupów i innych wiernych, w celu omówienia, wyjaśnienia, zdecydowania o ważnych lokalnych sprawach teologicznych, społecznych, dyscyplinarnych. Takie

Odszedł pracownik „winnicy Pańskiej”

Nieubłagana śmierć wyrwała ostatnio z szeregu czynnych duchownych polskokatolickich jeszcze pracownika „winnicy Pańskiej”. Dnia 26 marca br., po długiej i ciężkiej chorobie, w 62 roku życia i w 31 roku kapłaństwa, opatrzony Sakramentami świętymi, zmarł w szpitalu w Tarnowie — wieloletni duszpasterz naszej parafii w tym mieście — śp. ks. proboszcz Józef Prac.

* * *

Ks. Józef Prac urodził się dnia 3 czerwca 1923 r. w Maciejowicach (dawny powiat Garwolin) w rodzinie robotniczej, jako syn Mariana i Marianny z domu Michalec. Zdobywszy w rodzinnej miejscowości wykształcenie podstawowe, w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego — nie bez wielkiego wysiłku ze strony rodziców — rozpoczął naukę w szkole średniej w Garwolinie.

Po wyzwoleniu tych terenów spod okupacji hitlerowskiej, w dniu 6 października 1944 r. wcielony został do Ludowego Wojska Polskiego i skierowany do Szkoły Podoficerskiej. Po jej ukończeniu otrzymał przydział służbowy do 14 pułku 5 Dywizji Piechoty II Armii Wojska Polskiego. W jej szeregach walczył do końca wojny. Po zakończeniu działań wojennych — pozostając nadal w szeregach LWP — ukończył przerwana w 1939 r. naukę i jako „absolwent w mundurze”, otrzymał świadectwo dojrzałości. Odkomenderowany potem do Oficerskiej Szkoły Piechoty, ukończył ją jako chorąży. Awansowany w dalszym ciągu służby, doszedł do stopnia porucznika. Odnaczone zostały medale: „Za Odrę i Nysę”, „Za Zwycięstwo” oraz odznaczeniem radzieckim „Za Zwycięstwo” (Za Побіеду). Po zakończeniu wojny przyznano mu jeszcze medal „Siły Zbrojne w Służbie Narodu” i „Oznakę Grunwaldzką”. W styczniu 1951 r. został na własną prośbę zdemobilizowany.

Niezwłocznie po odejściu z wojska wstąpił do Seminarium Duchownego we Wrocławiu, gdzie przez 3 lata studiował filozofię i teologię. Pod koniec tego okresu nawiązał kontakt z naszą parafią w tym mieście (obecnie parafią katedralną) i podjął decyzję przejścia do Kościoła Polskokatolickiego. A ponieważ Kościół odczuwał po wojnie brak kapłanów, już 12 sierpnia 1954 r. otrzymał w Warszawie święcenia kapłańskie z rąk bpa Juliana Pękali. Jako wikariusz we Wrocławiu jeszcze przez 2 lata uzupełniał studia teologiczne.

W roku 1956 powierzono mu obowiązki proboszcza w Poznaniu. Na początku października 1974 r. przeszedł do parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Lublinie, przy ul. Kunickiego 7. Pozną jesienią 1975 r. — wobec społecznego zapotrzebowania — przystąpił do organizowania parafii polskokatolickiej w Długim Kącie k. Zamościa. W bardzo krótkim czasie zbudował tutaj wraz z wyznawcami kaplicę pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Został też pierwszym proboszczem tej parafii. Od 4 sierpnia 1976 r. przejął duszpasterzowanie parafią pw. Wniebowstąpienia Pańskiego, przy ul. Friedleina 8 w Krakowie. Jednak już 16 kwietnia

1977 r. zgodził się objąć obowiązki proboszcza w parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, przy ul. Kniewskiego 39 w Tarnowie. Na tej placówce nie pozostał z założonymi rękami. Bowiem za jego duszpasterzowania nasza świątynia w tym mieście (przy pomocy władz kościelnych) została gruntownie odnowiona. Parafianie zaś wyposażyli ją w nowe ołtarze, ławki, balustradę komunijną oraz szaty liturgiczne i elektryczne organy.

Nie wolno również pominąć milczeniem jego zaangażowania w pracy społecznej. Dał się bowiem poznać w pracach Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej Rady Narodowej w Tarnowie, wykazując — o czym opowiadał mi dyrektor miejscowego Szpitala Zespolonego — wielką troskę o placówki Służby Zdrowia w tym mieście. Był także aktywnym działaczem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W uznaniu za pracę społeczną Rada Państwa uhonorowała go Złotym Krzyżem Zasługi.

* * *

Pogrzeb śp. ks. proboszcza Józefa Prac odbył się w Tarnowie dnia 29 marca br. W miejscowej świątyni polskokatolickiej — wokół trumny śp. Zmarłego — zgromadzili się duchowni, pod przewodnictwem administratora diecezji krakowskiej, ks. infułata mgra Antoniego Pietrzyka. Wespół z nim przybyli oddać Zmarłemu ostatnią przysługę: kanclerz Kurii Biskupiej w Krakowie, ks. Czesław Siefertowski, księża dziekani: Aleksander Bielec, Kazimierz Bonczar, Jan Kuczek i Ryszard Rawicki oraz dziewięciu innych kapłanów. Wielu jednak duchownych — z racji odbywających się w ich parafiach rekolekcji wielkopostnych — na pogrzeb przybyć nie mogło.

Przybyli również delegacje z wieńcami: z parafii w Długim Kącie i Bolesławie. Nie zabrakło także przedstawicieli Wydziału do Spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Tarnowie, Rady Narodowej w tym mieście — której Zmarły był członkiem i delegacji ZBoWiD ze sztandarem. Przybyła również najbliższa rodzina śp. ks. Józefa. Licznie zgromadzili się parafianie.

Już od godzin rannych przybywający księża odprawiali Msze św. za spójność duszy Zmarłego. Oficjalne uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się o godz. 10.30, od śpiewaniem jutrzni żałobnej. Przewodniczył jej ks. dziekan J. Kuczek. Bezpośrednio potem ks. dziekan A. Bielec przeprowadził spowiedź ogólną. Przystąpili do niej kapłani, rodzina Zmarłego i wszyscy parafianie.

Mszę świętą pogrzebową za spójność duszy śp. ks. Józefa, w asyście ks. Ryszarda Michniaka i ks. Bronisława Jankowskiego, celebrował administrator diecezji krakowskiej, ks. infułat mgr Antoni Pietrzyk. Zgromadzeni na żałobnej uroczystości licznie przystąpili do Stołu Pańskiego. Egzortę żałobną wygłosił kanclerz Kurii Biskupiej, ks. Czesław Siefertowski. Przedstawił w niej najpierw życiorys śp. Zmarłego. Następnie, nawiązując do słów Apostoła: „Dobry bój toczyłem, biegu dokonałem, wiarę zachowałem” (2 Tym

4,7), zwrócił uwagę, że całe niemal życie śp. ks. Józefa było bojawaniem: bojawaniem o wolność Ojczyzny oraz o Kościół polski i katolicki. Dlatego ma on pełne prawo powtórzyć za tym samym Apostołem: „Teraz oczekuje mnie wieniec sprawiedliwości, który mi w owym dniu odda Pan, sędzia sprawiedliwy” (2 Tym 4,8a).

Bezpośrednio po zakończeniu Mszy św., zwierzchnik Diecezji Krakowskiej odczytał — przesłany przez Zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego, Biskupa Tadeusza R. Majewskiego — telefonogram kondolencyjny, którego słowa brzmiały: „Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o zgonie śp. ks. Józefa Prac, długoletniego proboszcza w Tarnowie. Duszę zmarłego Kapłana polecam miłosierdziu Bożemu. Proszę naszego najlepszego Ojca w niebie o pokój dla kapłana, który z nami pracował dla większej chwały Bożej, cierpiał za nasz święty Kościół i był także żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!” W dalszej części swego telefonogramu, Zwierzchnik Kościoła stwierdził: „Ze względu na ważne obowiązki nie mogę przybyć do Tarnowa, aby przewodniczyć we Mszy św. pogrzebowej — oddać ostatnią przysługę zmarłemu Kapłanowi i pokrzepić serca okrytych żałobą i bólem: najbliższej rodziny, Zwierzchnika Diecezji i Kapłanów, lecz pragnę zapewnić, że będę z Wami w duchowej łączności i będę się modlił za spójność duszy zmarłego Kapłana... Składam podziękowanie tym, którzy odwiedzali w szpitalu naszego Kapłana, a księżom za niesienie mu Komunii św. Dziękuję również tym wszystkim, którzy opiekowali się księdzem Józefem w czasie choroby, a szczególnie bratu Radomskiemu oraz Służbie Zdrowia w Tarnowie”.

Odczytał również telegram z wyrazami współczucia, który w imieniu władz administracyjnych Tarnowa przesłał do Kurii Biskupiej w Krakowie Wydział do Spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego.

Po odprawieniu egzekwii, duchowieństwo i pozostali uczestnicy pogrzebu udali się na cmentarz komunalny w Tarnowie-Świerczkowie. Tutaj, od bramy cmentarza uformował się kondukt żałobny. Poprowadził go w asyście duchownych rzędcą Diecezji Krakowskiej, który też odprawił ostatnie modły nad otwartą mogiłą. W imieniu duchowieństwa diecezjalnego pożegnał zmarłego Współbrata ks. proboszcz mgr Aleksander Smętek, zaś p. Stanisław Radomski — jako przewodniczący Rady Parafialnej — podziękował Zwierzchnikowi Diecezji, duchownym i przedstawicielom władz państwowych, delegacji ZBoWiD i wszystkim uczestnikom pogrzebu za udział w tej żałobnej uroczystości oraz oddanie ostatniej przysługi śp. Zmarłemu. Przy śpiewie antyfony „Witaj Królowo nieba...”, trumnę ze zwłokami złożono do grobu. Mogiłę pokryły wieńce i wianki kwiatów.

„Dobry Jezu, a nasz Panie, daj Mu wieczne Spoczywanie!”

UCZESTNIK
(ks. Jan Kuczek)

Niecodzienni goście w Zarządzie Głównym SPOŁECZNEGO TOWARZYSTWA POLSKICH KATOLIKÓW

ZG STPK przyjmował w swojej siedzibie w Warszawie przy ul. Balonowej 7 już wielu gości, wiele wybitnych osobistości z kraju i zagranicy. Tym razem, tj. 29 maja br. progi Zarządu Głównego przekroczyła nietypowa grupa, bo aż pięćdziesięcioro dzieci i młodzieży z Częstochowy. Na czele wycieczki przybył bp Jerzy Szotmiller, proboszcz parafii polskokatolickiej w Częstochowie, który ostatnio dużo uwagi poświęca sprawom dzieci i młodzieży na terenie częstochowskiego Oddziału STPK. W programie wycieczki po Warszawie przewidziano zwiedzanie zabytków kultury narodowej oraz wizytę w ZG STPK.

Niecodzienny gwar wypełnił pomieszczenia siedziby Zarządu Głównego. Po zwiedzeniu otoczenia najmłodszy zebrali się w salce przeznaczony na spotkania z młodzieżą, gdzie czekał już na nich poczęstunek — słodczyce, zimne napoje i herbata. Po wspólnej modlitwie, którą zmówił bp Jerzy Szotmiller, bp dr Wiktor Wysoczanski wygłosił krótkie przemówienie, witając na wstępie przybyłych gości: bpa Jerzego Szotmillera, dzieci oraz ich opiekunów. Prezes ZG STPK powitał również goszczącego właśnie w naszym kraju wraz z małżonką ks. W. Hyszkę z USA oraz przedstawicieli Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Życząc dzieciom udanej wycieczki po Warszawie poprosił Gościa z USA o podzielenie się swoimi wrażeniami z pobytu w Polsce.

Ks. W. Hyszko, który przybył do nas z Majami na Florydzie w swym przemówieniu wyraził radość i zadowolenie z faktu, iż może uczestniczyć w tym miłym spotkaniu. Stwierdził, że jest to jego pierwsza wizyta w Polsce. Urodził się w USA i tam mieszka do dzisiaj. Ale jego emocjonalne związki z narodem polskim były zawsze silne i tradycja polskiego pochodzenia była mu zawsze bardzo bliska. Marzenie zobaczenia kraju pochodzenia nie opuszczało go nigdy. Teraz się spełniło. Przyjazd do Polski dał mu okazję do zapoznania się z polską kulturą, wielowiekowym dorobkiem i dniem dzisiejszym naszego kraju. Tylko pobyt tu na miejscu — stwierdził miły Gość z USA — daje szansę poznania prawdziwego obrazu kraju pochodzenia, Polski.

Ks. W. Hyszko wyraził swoje zadowolenie z faktu, że jego wizyta w ZG STPK zbiegła się z wizytą tak licznej grupy najmłodszych obywateli naszego kraju. Korzystając więc z okazji opowiedział dzieciom o Majamach, skąd przybył, miejscowości położonej w ciepłym, łagodnym klimacie, w otoczeniu wspaniałej egzotycznej roślinności. Opowiedział o amerykańskich dzieciach i młodzieży, ich zainteresowaniach i codziennych zajęciach. Stwierdził z zadowoleniem, iż bardzo go raduje widok tylu uśmiechniętych, zadowolonych twarzy oraz fakt, iż wszystkie tu obecne dzieci są blisko Boga. Obserwuje się bowiem na świecie zjawisko oddalania się młodego pokolenia od spraw religii. A przecież wiara pomaga w życiu. On sam dzięki Kościołowi mówi tak pięknie po polsku, nie będąc przecież nigdy wcześniej w Polsce.

Ks. W. Hyszko swym pogodnym usposobieniem i spontanicznym zachowaniem wprowadził duże ożywienie wśród dzieci, które chętnie odpowiadały na jego pytania. Miły Gość z USA wykazał się przy tym zdolnościami wokalnymi. Zaśpiewał po angielsku melodyjną piosenkę, która się wszystkim bardzo spodobała. Również żona ks. W. Hyszko włączyła się do tej wspólnej z dziećmi zabawy, recytując po polsku wesoły wierszyk.

Bp Jerzy Szotmiller dziękując za tak przyjemne przyjęcie w siedzibie ZG STPK, zebrał swoją liczną gromadkę, by powieść ją dalej po Warszawie.

Wspólnym pamiątkowym zdjęciem przed siedzibą ZG STPK zakończono to miłe spotkanie.

EWA STOMAL



Bp dr Wiktor Wysoczanski wita przybylych Gości: po prawej — bp. J. Szotmillera, Ks. W. Hyszkę z USA oraz jego małżonkę, po lewej — red. Małgorzatę Kapińską — dyrektora Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego oraz dzieci i ich opiekunów



Widok na salę z małymi gośćmi

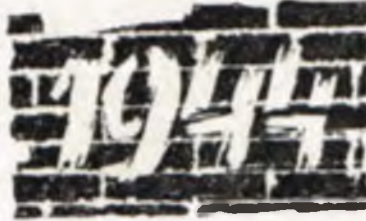
Prezes ZG STPK okiem troskliwego gospodarza obejmuje wszystkich gości



WARSZAWSKI SIERPIEŃ

„Kiedy się w ludziach miłość śmiercią stała
i runął na nas grmiąc ognisty strop,
błogosławieni ci, co im za mała
była ta trwoga dla serc i dla rąk.”

(K. K. Baczyński)



1 sierpnia 1944 roku poeta Tadeusz Gajcy napisał w swoim dzienniku: „Zaczął się. Boże od Ciebie zależy wszystko...” Dla niego i tysięcy chłopców i dziewcząt wybiła tego dnia godzina „W”. Tak się zaczęło Powstanie...

„Dzień był pochmurny, deszczowy. Ciemne niebo wisiało nad sinym miastem, zza Wisły niósł się głuchy pogłos wystrzałów artyleryjskich. Koło południa ucichł. Ulice wypełnione były dziwnym tłumem; widziało się przede wszystkim młodych chłopców w oficerkach i letnich płaszczach, pod którymi kryli broń. Maszerowali w pośpiechu chodnikami, szli po dwóch, trzech a nawet w większych grupach i nie zwalniali kroku, gdy napotykali patrole żandarmerii niemieckiej. Hitlerowcy wpatrywali się bacznie w przechodzących, początkowo nie sięgali po broń. Zbyt wielu młodych Polaków było na ulicy, by wdawać się w przedwczesną strzelaninę.

Gen. „Bór” wyszedł z domu przy ulicy Focha wczesnym rankiem. (...) Udał się na poranną odprawę sztabu, która jak zwykle dotyczyła omówienia sytuacji. Nadchodziły meldunki ze wszystkich obwodów i rejonów, mobilizacja trafiała na przeszkody. Niemcy przesunęli bowiem niespodziewanie godzinę policyjną z dziewiątej na ósmą wieczór, konspiracyjnie nie mogli więc zacząć akcji zawiadamiania oddziałów, tak, jak planowano. Dopiero o świcie (właśnie 1-go sierpnia) zaczęła działać machina organizacyjna: ponad sześć tysięcy gońców i łączników, a także łączniczek rozbiegło się po mieście ze zleceniami. Tramwaje były przeładowane, kursowały zresztą nieregularnie. Riksze rowerowe miały szalone powodzenie, przewożąc żołnierzy podziemia na miejsca zbiórki lub broń. Ale tę trzeba było jeszcze uprzednio wydobyc z skrytek i magazynów. (...)

Komenda Główna AK miała się zebrać w fabryce Kamlera na Dzielnej, między cmentarzami a zburzonym całkowicie gettem, gdzie znajdował się jeszcze obóz żydowski tzw. Gęsiówka i więzienie na Pawiaku. Obok fabryczki Kamlera mieścił się Monopol Tytoniowy. Obsadzała go wzmocniona załoga niemiecka. (...)

Żołnierzy niemieckich było w Warszawie w dniu 1 sierpnia — według obliczeń gen. Kirchmayera — około 15 tysięcy. (...) Około godziny jedenastej z rana płk policji Geibel otrzymał pierwsze meldunki konfidentów o niepokoju na mieście. Dzwoniły posterunki żandarmerii. (...)

Geibel porozumiał się z gen. Stahelem, który wpół do piątej zdecydował się na ogłoszenie alarmu. (...)

Pierwsze strzały padły na Żoliborzu znacznie przed godziną 17-tą. Dokładnie o 13.50. Drużyna dywersji obwodu starła się z patrolem lotników niemieckich. Polacy wyszli z tego starcia zwycięsko, ale zaalarmowani strzałami Niemcy ściągnęli znaczne siły w rejon ulicy Suzina, zaskakując tym całkowicie szykujących się do ataku na Fort Bema żołnierzy oddziału im. Jarosława Dąbrowskiego. Zmasowane, wsparte czołgami i samochodami pancernymi natarcie Niemców okazało się tragiczne w skutkach dla powstańczego oddziału.

Przedwczesna, niespodziewana akcja spowodowała, że obwód żoliborski mobilizował się wśród walki i zagrożenia ze strony nieprzyjaciela. Mimo to o godzinie siedemnastej, zgodnie z godziną „W” przypuszczono atak na Cytadela, Fort Traugutta, Dworzec Gdański, Fort Bema, Szkołę Gazową i Centralny Instytut Wychowania Fizycznego — niestety, bez powodzenia. Niemcy poderwani przedwczesną strzelaniną nie dali się zaskoczyć.

Rozwój wydarzeń oraz poważne braki w broni i amunicji już w pierwszym dniu praktycznie wyłączyły Żoliborz z dalszej walki. W tej sytuacji dowódca II Obwodu, ppłk „Żywiciel” (Mieczysław Niedzielski) zmuszony był wydać rozkaz odwrotu oddziałów powstańczych do Kampinosu.

Przed czasem rozpoczęły się też walki w innych rejonach miasta. Na Woli wsparte czołgami oddziały niemieckie wyparły słabo uzbrojone oddziały powstańców, docierając w rejon wiaduktu kolejowego na ulicy Obowojowej. W rejonie drugiego wiaduktu — przy ulicy Wolskiej — czołgi zaatakowały stanowiska powstańcze od tyłu. Przy nierównych siłach walka przemieniła się w prawdziwą rzeź...

W poważnym niebezpieczeństwie znalazła się w dniu 1 sierpnia Komenda Główna AK. Na krótko przed 17-tą doszło do wymiany ognia z nieprzyjacielem, który wtargnął przypadkowo na teren fabryki Kamlera,

gdzie właśnie mieściła się Komenda Główna. Ten „incydent” spowodował jednak silny atak Niemców, którzy silnie umocnieni razili ogniem ckm-ów z przeciwległej kamienicy, utrzymując jednocześnie silny obstrzał z okolicznych bunkrów.

Na odsiecz Komendzie Głównej przybył dopiero po dwóch godzinach batalion „Zośka” ze zgrupowania „Radosław” dowodzonego przez płk. Jana Mazurkiewicza. Batalion ten przeszedł swój „chrzest bojowy” jeszcze przed wybuchem zaplanowanych akcji powstańczych. Otóż dokładnie o 16.10 odparł przeciwnatarcie niemieckie w fabryce Telefunken na Woli. Nie obyło się bez strat w ludziach.

Na Ochocie, gdzie dowódcą Obwodu był ppłk „Grzymała” (Mieczysław Sokołowski) główny atak powstańców poszedł w kierunku placu Narutowicza. Celem było zdobycie gmachu Domu Akademickiego, w którym mieściły się koszary policji niemieckiej. Atak został odparty przez doskonale uzbrojone oddziały żandarmerii z Schuttpolizei.

Niepowodzeniem zakończył się także atak na budynek Monopolu Tytoniowego na Kaliskiej, szkołę na Zieleniaku, koszary SS przy ulicy Wawelskiej a także szkołę na Tarczyńskiej. W tym rejonie Ochoty udało się powstańcom opanować jedynie kilka obiektów drugorzędnej znaczenia.

Poważne niepowodzenie zaplanowanej akcji, które w znacznej mierze zostało pogłębione przez dalsze posiłki, jakie Niemcy otrzymali z Okęcia, uniemożliwiły praktycznie wszelkie działania strategiczne oddziałów powstańczych w tym rejonie.

Spośród akcji bojowych przeprowadzonych w pierwszym dniu Powstania jedynie w Śródmieściu, na Woli, Górnym Mokotowie, opanowane zostały przez powstańców ważniejsze obiekty.

Na Woli szczególnie istotne z punktu widzenia dalszej walki było opanowanie przez batalion „Zośka” po ciężkiej walce szkoły Św. Kingi, w której mieściły się umocnione koszary niemieckie. Nie mniej ważne było zajęcie fabryki Pfeifera przy Okopowej oraz zajęcie cmentarza żydowskiego a także ewangelickiego przez bat. „Pięść”. Cmentarz kalwiński opanowały oddziały batalionu szturmowego „Parasol”, zaś batalion „Miotła” zamknął wylot ulicy Okopowej w kierunku placu Kercelego.

W Śródmieściu w ręce powstańców dostały się: gmach Sądu Apelacyjnego na placu Krajskich, ratusz i więzienie na Daniłowiczowskiej oraz budynek ZNP przy ulicy Smulikowskiego. Nie powiodły się akcje zdobycia mostu, co w konsekwencji prowadziło do izolacji Pragi od Śródmieścia, zaś nieoprowadzenie rejonu placu Piłsudskiego i Krajskiego Przedmieścia wyraźnie izolowało

Powisłe od Starego Miasta, które w całości prawie należało do powstańców. Również Powisłe częściowo znajdowało się w rękach powstańczych.

Częściowe tylko powodzenie godziny „W” sprawiło, że niemożliwa stała się zakładana początkowo powszechność walki i powiązanie jej z akcją grup powstańczych z rejonów podwarszawskich, co miało na celu przerwanie pierścienia okalającego miasto. Niepowodzenie walk na Żoliborzu, Ochocie, rozbiście rozproszenie wielu oddziałów, prowadzących działania w tym rejonie nie stworzyło także możliwości pełnej synchronizacji powstańczych akcji zaczepnych, w konsekwencji musiało prowadzić do zredukowania wielu korzystnych dla przebiegu powstania szans. Ponadto niepowodzenia te ograniczając walkę do kilku zaledwie rejonów (Śródmieście, zachodniej części Woli, Górnego Mokotowa oraz kilku „wysepek”, które tworzyły niewielkie zgrupowania na Pradze, Ochocie i Żoliborzu) dawały tym samym większą szansę nieprzyjacielowi, który w ten sposób mógł sobie pozwolić na koncentrację sił w tym rejonie.

Ale wtedy 1 sierpnia 1944 roku po przeszło pięcioletniej okupacji walka ze zniechęconym wrogiem, której kulminacyjnym punktem był powstańczy zryw warszawskiego społeczeństwa, stała się miarą godności całego Narodu. Warszawa stała się symbolem niepodległego ducha, którego nie złamały najokrutniejsze represje i zbrodnie okupanta.

Dlatego przez 63 dni to otoczone przez przeważające siły wroga, prawie bezbronne Miasto toczyło zaciętą, krwawą walkę o każdy swój dom, o każdy metr ziemi, o każde rumowisko, o każdy szaniec. Dziesięcio- i kilkunastoletni chłopcy butelkami benzyny atakowali stalowe „tygrysy”, roznosili powstańczą pocztę, często meldunki. Pochylone dzień i noc nad rannymi sanitariuszki w warszawskich szpitalach powstańczych i na linii frontu dzieliły los walczących chłopców — jak oni umierając śmiercią żołnierza — męstwem i odwagą dorównywały im łączniczki pod gradem kul przemierzające odległe i zagrożone przez wroga szlaki od dowództwa do powstańczych stanowisk...

Los żołnierza Polski Walczącej dzieliła także ludność cywilna — wznosiła barykady, dostarczała żywności, przeznaczając na kwatery, szpitale nieliczne ocalałe mieszkania tak długo jak długo zdołał się utrzymać ostatni powstańczy posterunek...

W tych dniach sierpniowych, kiedy każdy dom stawał się szansem a każdy kamień krwawił męczeństwem poległych w walce i rozstrzelanych powstańców i bezbronnej ludności dokonywała się najtragiczniejsza z kart narodowej historii, najtragiczniejsza z ofiar, jaką naród płaci za wolność.

Tak było przez 63 dni — Dni krwi i chwały...

ELŻBIETA DOMAŃSKA

W artykule zacytowano fragment książki Lesława Bartelskiego „Powstanie Warszawskie”.




12

MAŁGORZATA KĄPIŃSKA

ON i ONA

(strofy liryczne)




Gdziekolwiek będę
i o każdej porze
wspominać będę Ciebie,
choć inni szepną
sobie (może),
że ja spoglądam w siebie.

Tu byłeś ze mną,
tu się śmiałaś,
tam — suknię sobie szyłaś,
a tu — w zielonej sukni stałaś
i taka piękna byłaś.


Gdziekolwiek będę
i o każdej porze
do Ciebie wracać będę,
a w moim cierpieniu
pomóż, Boże,
nim spokój swój zdobędę.

(„Gdziekolwiek będę”)



Jak gdyby nic nie było
i nic się nie zdarzyło,
codziennosc.
Coś jednak zostało
z potęgi uczucia małego:
niezmiennosc letniego dnia,
kolor sukni,
profil z mgły...
coś bardzo czystego.


(„Nic nie było”)

- 
- Czy wiesz, że dzisiaj mi się śniłaś?
 - A jak?
 - Wspaniale. I we śnie mnie lubiłaś.
 - Czy bardzo?
 - Wprost niebywale!

(„Dzisiaj mi się śniłaś”)

Słowa, nie myśli twoje,
obecne są przy nas.
w zablakaniu uczuć
mówisz (nie myślisz o mnie):
Jedyna.

(„Jedyna”)



Jakże mam przelać drogie rysy na papier
— słowami? piórem?
lub choćby naszkicować twój portret
z pamięci

— czyż moim bólem?
Papier jest zimny słowami odbitek
drukerskich

— nie powie.
Zostaje we mnie pamięć portretu
— jakim był człowiek.

(„Rysunek”)

Dziś przedstawiamy Wam jedną z wielu przepięknych — bo pinych sercem — baśni Hansa Christiana Andersena. Może niektórzy z Was ją już znają — niech więc sobie ją przypomną, a ci, którzy jeszcze jej nie słyszeli — chyba nie oderwą się od niej z czytaniem...

Raz w jednym strączku było pięć groszków — były one zielone i strączek był zielony, przypuszczały więc, że cały świat jest zielony. Strączek rósł i groszki rosły razem z nim, siedząc sobie jeden przy drugim — i wciąż były zielone. Ach, jak grzało dobre słońce. Jak ocieplało dojrzewający strączek! A czasem — przychodził deszcz i orzeźwiał go, i karmił — naprawdę małym, zielonym groszkiem było dobrze i ciepło. W dzień było jasno, w nocy było ciemno, a groszki rosły i były już takie duże, że zaczęły zastanawiać się nad tym, co z nimi będzie.

— Trzeba koniecznie czymś się zająć! — mówiły. — Nie będziemy przecież przez całe życie tkwić w tym zielonym strączku! Tam, poza strączkiem, coś się dzieje — na pewno coś się dzieje, mamy przecież takie uczucie, że powinniśmy wyjść ze strączka i znaleźć się — tam..

Ale gdy jeszcze trochę czasu minęło, strączek dojrzał i stał się żółty, i groszki stały się żółte. więc przypuszczały, że cały świat stał się teraz żółty.

Nagle nastąpiło trzęsienie ziemi — oto strączek został zerwany i wraz z wieloma innymi znalazł się w kieszeni. Groszki ucieszyły się: Zaraz strączek otworzą i wyjdziemy na świat!

— Ciekawym, który z nas zajdzie najdalej — rzekł jeden z groszków.

— Zaraz się o tym przekonamy — mruknął drugi, a trzeci westchnął:

— Stanie się to, co ma się stać...

Wtem strączek pękł, i wszystkie groszki wysypały się. Wszystkie pięć leżało na małej, dziecięcej dłoni dziecka. Był to chłopczyk.

— To świetne kulki! — Ucieszył się mały. — Wspaniale będzie się nimi strzelało!

I po kolei brał groszki, nabił nimi swą małą strzelbę i wystrzeliwał je wysoko.

— Oto lecę wreszcie w daleki świat! — zawołał pierwszy groszek. Niechże mnie chwyci, kto może!

— Wzlatuję wprost do słońca! — wołał drugi. — Słońce jest najodpowiedniejszym strączkiem dla mnie!

— My zalecimy najdalej — zawołały dwa następne groszki. — A gdziekolwiek się dostaniemy, utniemy sobie dobrą drzemkę!

— Stanie się to, co ma się stać! — szepnęła piąta, najmniejszy groszek i wysoko wyleciał z



Z jednego strączka

ufy w powietrze. Wielkim luktem przeleciał ponad ulicą i wpadł w szczelinę między deskami tuż u okienka poddasza. W szparze było trochę ziemi, trochę mchu, było tam wilgotno, ciepło i w miarę przytulnie. Mały groszek otulił się więc mchem i jeszcze raz szepnął:

— Stanie się to, co ma się stać...

W ubogiej izdebce na poddaszu, za tym właśnie okienkiem, tu stóp którego padł między deski mały groszek, mieszkała biedna kobieta, która bardzo ciężko musiała pracować, aby przynieść kawałek chleba sobie i dziecku. Sprzątała po domach, prała, przynosiła i rąbała drzewo — była to bardzo ciężka praca, a siła ta kobieta miała coraz mniej. A jednak chciała pracować i na pewno pracowałaby lepiej, i sama lepiej by się czuła, gdyby nie to, że jej mała córeczka chorowała i czuła się coraz gorzej...

Idąc do pracy musiała biedna kobieta zostawiać dziecko samotne, leżące w łóżeczku. Cały rok leżała tak dziewczynka i chorowała, i nie było wiadomo, czy chce żyć, czy umrzeć... Te-

raz była już wiosna i dziewczynka leżąc w łóżku patrzyła w stronę okienka, przez którego małe szybki przeglądało się słońce. Raz za najniższą szybką zobaczyła coś zielonego. Najpierw sądziła, że to się jej tylko wydaje, ale na drugi dzień ujrzała to samo i spytała się wtedy matki:

— Mateńko... cóż to tam za szybką, powiedz... takie zielone...

Matka podeszła do okienka, uchyliła je i powiedziała:

— Pomyśl sobie, to małe groszki! Wypuścił już nawet małe zielone listeczki! Jakimże cudem do tej szpary między deskami mogło się dostać ziarenko groszku?

— Groszek... zielony, i ma zielone listeczki — mówiła wzruszona dziewczynka. — Mateńko, to będzie mój mały ogródek! Przysuń mi trochę bliżej okienka...

I matka przysunęła łóżeczko chorej dziewczynki pod same okienko, by chora mogła być jak najbliżej tej zielonej roślinki. A dziewczynka przez cały dzień

patrzyła na zielone, delikatne listeczki za szybką. Gdy wieczorem matka wróciła z ciężkiej pracy córeczka powiedziała:

— Mateńko! Tak mi się jakś zdaje, jakbym miała wyzdrowieć! Tak mocno grzało mnie dzisiaj słońce — a ten groszek jest taki cudny! Taki zielony, taki wesoły... Ja już chcę wyzdrowieć i wyjść na słońce...

Ale matka nie uwierzyła w to, że biedactwo może wyzdrowieć. Uśmiechnęła się jednak i pocałowała dziewczynkę. A później — wystrugała mały kijek i podpierała groszek, aby nie zламаł go wiatr, a od kijka przeprowadziła w górę nitki, by listki groszku miały się po czym piąć w górę. I z każdym dniem było widać coraz lepiej, jak groszek rozwijał się i rozrastał.

— Taka mała, skromna roślinka, a tyle nadziei wywołała w serduszkach mojej biednej córeczki! — myślała kobieta.

Pewnego dnia ujrzała, że groszek kwitnie. I wtedy zaświtała jej w jej sercu nadzieja, że dziecko wyzdrowieje. Odkąd przecież zawitał przed ich okienko ten mały, niepozorny groszek — dziewczynka ożywiła się, siadała na łóżku, wyciągała rączki za szybą. A groszek — kwitł, i stał się jakiś cud: dziewczynka wstała! Wstała najpierw na jedną godzinę, bo zabrakło jej sił, ale tę godzinę spędziła przy oknie, siedząc uszczęśliwiona i patrząc na kwitnący groszek, na jego delikatne, białoczerwone płateczki. Słońce świeciło, dziewczynka miała oczy pełne łez i nachyliła się ostrożnie, leciutko całując delikatne płateczki.

— Chyba anioł zasadził tu ten groszek — mówiła matka. — Przecież on cię po prostu wyleczył! — I uśmiechnęła się do kwiatków groszku, jakby mogły one zrozumieć jej słowa i jej uśmiech, i jakby same były delikatnymi aniołkami w białych i czerwonych sukienkach.

A co się stało z pozostałymi czterema groszkami z tego samego strączka? Ten groszek, który leciał pierwszy — wpadł do rynny i tam przepadł — może połknął go gołąb? Bo dwa następne na pewno wpadły do gołębiego brzuszka. A czwarty groszek, który chciał dolecieć do słońca — wpadł do rynsztoka i leżał tam, i pęczniał, aż pękł całkiem. Ale był z tego bardzo zadowolony, bo sądził, że to jest bardzo wytwornie tak utyc i tak pękać.

A przy okienku na poddaszu stała dziewczynka i nie była już chora. Na bladej twarzyczce malowały się zdrowe rumieńce, a oczy błyszczały szczęściem. Trzymała rączki nad kwitnącym groszkiem, jakby chciała go objąć i przytulić do serca...



Rozmowy z Czytelnikami

„Stosownie do zaleceń kierowanych do nas z ambony — pisze p. Helena T. z Sokółowa Podlaskiego — od dłuższego czasu czytam codziennie Pismo Święte. Moją lekturą biblijną jest obecnie Apokalipsa. W trakcie jej czytania przekonałam się, że jest to najtrudniejsza do zrozumienia księga Nowego Testamentu. W dodatku wydanie Biblii jakim dysponuję nie posiada wstępów do poszczególnych ksiąg oraz opatrzone jest w bardzo szczupłe objaśnienia tekstu. Toteż zrozumienie treści tej księgi jest dla mnie znacznie trudniejsze niż pozostałych ksiąg nowotestamentowych.

Proszę więc Duszpasterza o udzielenie mi odpowiedzi na następujące pytania, dotyczące wspomnianej księgi: kiedy i w jakich okolicznościach powstała Apokalipsa? Czy przeznaczona ona była wyłącznie dla siedmiu gmin kościelnych w Azji Mniejszej, czy też adresowana została do całego Kościoła? Chętnie też przeczytałabym krótkie chociażby wyjaśnienie tej księgi”.

Szanowna Pani! Dobrze się stało, że wyznawcy Chrystusa coraz częściej biorą do rąk Pismo Święte. Jego lektura pozwala im bowiem przekonać się, że nauczanie Kościoła nie opiera się „na zreżymie zmyślonych baśniach” (2 P, 16), lecz ma fundament w Objawieniu Bożym i zawiera nieomylną prawdę.

Apokalipsa jest jedyną księgą proroczą, zaliczoną do „kanonu”, czyli zbioru ksiąg Nowego Testamentu. Nazwa „Apokalipsa” wywodzi się od greckiego wyrażenia „apokaliptein”, co znaczy: odkryć, objawić. Stąd też sama nazwa tej księgi wskazuje, że zawiera ona „objawienie Jezusa Chrystusa, które dał... Bóg, aby ukazać sługom swoim to, co ma się stać” (Ap 1, 1).

Autorowi tej księgi objawionej jest na imię Jan. Wynika to ze słów dedykacji Apokalipsy, gdzie czytamy: „Ja, Jan, brat wasz i uczestnik w ucisku i w Królestwie, i w cierpliwym wytrwaniu przy Jezusie, (gdy) byłem na wyspie Patmos. z powodu zwiastowania Słowa Bożego i świadczenia o Jezusie. W dzień Pański popadłem w zachwycenie i usłyszałem za sobą głos... który mówił: To, co widzisz zapisz w księdze” (Ap 1,9—11). Również tradycja kościelna pierwszych wieków zdecydowanie stwierdza, że autorem tej księgi jest św. Jan Apostoł. Potwierdzają to także najnowsze badania z dziedziny nauk biblijnych.

Ta sama tradycja podaje, że miejscem, gdzie Jan otrzymał to objawienie, była mała, skalista wyspa Patmos, na Morzu Egejskim. Tutaj bowiem został Apostoł zesłany karnie podczas prześladowania chrześcijan, jakie — za panowania cesarza

Domicjana (81—96) — rozpętane zostało w Rzymie, w Palestynie i w Azji Mniejszej. W oparciu o tę tradycję przyjmuje się powszechnie, że księga Apokalipsy napisana została około 100 roku. Mogło to mieć miejsce jeszcze na Patmos lub też w Efezie. dokąd w 96 roku — już po śmierci Domicjana — powrócił św. Jan.

Księga ta — jak to wyraźnie wynika z jej treści — przeznaczona była w pierwszym rzędzie dla wyznawców gmin chrześcijańskich w Azji Mniejszej, nad którymi roztaczał opiekę ten właśnie Apostoł. Społeczności te, po deportowaniu św. Jana z Efezu znalazły się w trudnym położeniu. Powodem tego były gwałtowne napaści ze strony osiadłych tutaj zagorzałych zwolenników religii Mojżeszowej. Większym jeszcze ciosem w młody organizm Kościoła, było krwawe prześladowanie wyznawców Chrystusa w całym cesarstwie rzymskim. Nic więc dziwnego, że w sercach ludzi mniej utwierdzonych w wierze rodził się lęk i strach. Wielu zapewne zadawało sobie pytanie, jaki los czeka cały Kościół Chrystusowy. W tej sytuacji konieczne było chrześcijanom podtrzymanie ich na duchu. Zadanie to mógł spełnić najlepiej, ostatni żyjący jeszcze członek kolegium apostoelskiego, sędziwy wówczas św. Jan. Pragnął on przekonać adresatów wspomnianej księgi, że losy całej ludzkości i Kościoła są w ręku Boga. I chociaż wydawać się może ludziodziom niekiedy, że zło i nieprawość biorą górę, a sprawiedliwość jest sponiewierana i zdeptana — przecież ostateczne zwycięstwo będzie po stronie Boga i jego sprawy. A ponieważ w

dziejach Kościoła Chrystusowego powtarzały się doświadczenia i cierpienia — jakich podczas prześladowań doznały również Kościoły w Azji Mniejszej — przeto treść księgi odnosi się do Kościoła powszechnego wszystkich wieków, niosąc mu pociechę i zapewnienie opieki Bożej.

Po wprowadzeniu i pozdrowieniach (rozd. 1,1—8) następuje w Apokalipsie opis wizji wstępnej (rozd. 1,9—20) oraz dedykacja, zawarta w słowach: „To, co widzisz, zapisz w księdze i wyslij do siedmiu zborów: do Efezu i do Smyrny, i do Pergamonu, i do Tiatyry, i do Sardes, i do Filadelfii i do Laodycei” (Ap 1, 11). Bezpośrednio potem podana jest treść listów do siedmiu Kościołów azjatyckich. Ta część księgi Objawienia (rozd. 1,9—3,22) odnosi się do tego „co jest” (Ap. 1, 19), a więc do okresu współczesnego autorowi tej księgi.

Drużną część Apokalipsy (rozd. 4,1—21,8) zawiera proroczą wizję i mówi o tym „co stanie się potem” (Ap 1, 19). Pierwsza część tego proroctwa odnosi się do historii całej ludzkości. Druga natomiast do walk i losów Kościoła Chrystusowego.

Część trzecia Objawienia (rozd. 21,9—22,21) przedstawia wizję triumfu sprawy Bożej nad szatanem i jego zwolennikami. Wówczas niebieskie Jeruzalem przyjmie w swych murach zbawioną ludzkość, która otrzyma życie wieczne i szczęście płynące z łączności z Bogiem w królestwie niebios.

Łączę dla Pani i wszystkich Czytelników pozdrowienia w Chrystusie oraz życzą wiele pożytku z lektury Pisma Świętego.

DUSZPASTERZ

PORADY

Zajmiemy się dziś tematem „wstydliwym”, niemniej z punktu widzenia zdrowia bardzo poważnym. Okazuje się bowiem, że co czwarty człowiek jest nim osobście zainteresowany.

Hemoroidy — nazwa wywodząca się od greckich słów: haima — krew i rhoos — płynący, zawdzięcza swoje powstanie Hipokratesowi, który jako jeden z pierwszych leczył to przykre schorzenie.

W powstawaniu żylaków odbytu, czyli właśnie hemoroidów, zasadniczym powodem jest zaparcie stolca. Drugą, równie poważną przyczyną jest praca siedząca, poza tym skłonność do zastojów krwi mogą pogłębiać także choroby wątroby i serca, co z kolei ułatwia tworzenie się żylaków odbytu.

W procesie powstawania choroby żylakowej można wyróżnić trzy okresy:

pierwszy — śluzówka przy

Choroba żylakowa

oddawaniu stolca wysuwa się na zewnątrz i może zostać zaciśnięta przez mięsień — zwieracz odbytu. Stan taki grozi często pęknięciem żyły i znacznym krwotokiem;

drugi — śluzówka wypadająca z odbytu przybiera duże rozmiary i chory wyraźnie zdaje sobie sprawę z jej uwypuklenia. Etap ten charakteryzują uporczywe krwawienia;

trzeci stopień choroby cechuje zwiotczenie mięśni zwieracza i stałe wypadanie żylaków, przy czym wydzielina wypływająca z błony śluzowej niedomkniętego odbytu drażni skórę i wywołuje przewlekły stan zapalny.

Powyższa charakterystyka jest typowa dla żylaków położonych głębiej, ale żylaki zewnętrzne, mniej groźne, są równie bolesne i zwykle przez chorego wcześniej zauważane. Objawy są zresztą podobne, jedyna różnica po-

lega tylko na umiejscowieniu.

Skutkiem żylaków odbytu, nawet tych niewielkich, ale długotrwałych, powodujących krwawienia może być niejednokrotnie anemia, czyli niedokrwistość. Pęknięte naczynia mogą też ulegać zakażeniu bakteryjnemu, co w efekcie daje często ropień w okolicy odbytu. Choroba żylakowa może też spowodować całkowite lub częściowe wypadanie odbytnicy.

Leczenie żylaków odbytu może być zachowawcze lub chirurgiczne. W każdym jednak wypadku ich stwierdzenia konieczne jest dokładne badanie celem rozpoznania. Pozwala ono — we wczesnym stadium — zapobiec znacznie poważniejszym schorzeniom, których żylaki odbytu są tylko wtórnym objawem.

W procesie leczenia i zapobiegania żylakom odbytu bardzo ważne jest uregulowanie wypróżnień. W fazie wstępnej służą temu sprawdzone domowe sposoby, polegające na spożywaniu wie-

czorem młodego kwaśnego mleka, suszonych śliwek, wymoczonych uprzednio przez parę godzin w przegotowanej wodzie, wypicie na czczo pół szklanki ciepłej wody z łyżką miodu, wreszcie spożycie na czczo dwóch jabłek. Bardzo ważne jest także uregulowanie stałej pory wypróżnienia oraz dbałość o higienę osobistą. Dla osób pracujących w pozycji siedzącej wskazana jest gimnastyka i codzienne dłuższe spacerowanie. Ruch pobudza bowiem perystaltykę jelit, co przy tym schorzeniu jest szczególnie ważne.

Na zakończenie ciekawostka: żylaki odbytu i związane z nimi powikłania nękały ludzi od dawna. Wstarych kronikach spotykamy np. wzmiankę, że na chorobę tę cierpiał także król Ludwik XIV. Jego nadworny lekarz zmuszony był więc dokonać operacji na „królewskiej osobie”, za co otrzymał fermę i sześć tysięcy dukatów. Z tego należy więc wnosić, że operacja okazała się udaną.

A.M.

— Znacie już tę anegdotę o buldogu i pinczerku? Gadajcie, co? — zapytał, gdy podano kawę.

— Uważaj! — ostrzegł Wareda. — nie zapominaj, że kto opowie stary kawał, stawia butelkę koniaku.

— Nie mądrzyj się, Wacuś — skarcił go z poważną miną Ulanicki — Likurgiem, który tę zasadę prawną ustanowił, byłem przeciw ja sam we własnej osobie. Ale słuchajcie. Otóż siedzi sobie na rogu Marszałkowskiej wyżeł...

— Mówiłeś, buldog...

— Nie zavracaj kontrafałdy. Siedzi sobie wyżeł i patrzy, a tu z Ogrodu Saskiego pędzi buldog, olbrzymi buldog.

Dyzma wstał i bąknął.

— Na chwilę przepraszam.

— Znasz ten kawał? — zapytał Wareda.

Nikodem nie znał, lecz odpowiedział.

— Znam.

Prędko włożył płaszcz i wybiegł drzwiami, uchylonymi przez portiera.

Szofer nacisnął starter i otworzył drzwiczki.

— Możesz pan jechać do domu — powiedział Dyżma.

Stał chwilę na chodniku, zanim auto odjechało, po czym poszedł w kierunku Bielańskiej i wszedł do taksówki.

— Róg Karolkowej i Wolskiej.

Kiedy jeszcze był mandolinistą w barze „Pod Słonem”, często odwiedzał z kolegami i przygodnymi kompanami tamte strony. Goście w barze czasami w przypływie dobrego humoru zabierali ze sobą orkiestrę.

Na długiej, wąskiej ulicy Karolkowej było ich kilka.

Gdy auto stanęło, Nikodem zapłacił i, odczekawszy, aż szofer odjechał, skręcił w Karolkową.

Po obu stronach piętrzyły się jednostajne kamienice z czerwonej cegły: fabryki. Jednostajne mury tu i ówdzie dzielił wysoki drewniany parkan lub mały drewniany domek, w którego oknach po-blyskiwało światło małych żarówek zza żółtych firanek. Były to knajpy robotnicze, tak mało różniące się jedna od drugiej, że trudno byłoby je rozpoznać.

Nikodem szedł pewnym krokiem, aż pchnął wąskie drzwi.

Od razu ogarnął go zapach piwa i kiszzonej kapusty. Szeroka lada, oszklona i przysłonięta białymi firaneczkami, zajmowała połowę niedużej salki, której kamienną podłogę pokrywały świeże trociny.

Zza zielonej kotary dochodziły głośne dźwięki harmonii i skrzy-

piec. Za ladą stał ponury mężczyzna o czerwonej twarzy i dwie podstarzałe kobiety. W bufetowej sali tylko dwa stoliki były zajęte.

Nikodem podszedł do szynkwasy.

— Większą? — zapytał gospodarz.

— Lej pan — odparł Dyżma.

Wypił i sięgnął po dzwonko śledzia.

— No co panie Malinowski, jak idzie?

— Ot, pomału.

— A gra u pana Ambroziak?

— Bo co? — nieufnie zapytał gospodarz.

— Nalej pan — powiedział Dyżma i wypił. Przekąsił grzybkami.

— Pan mnie nie pamięta, panie Malinowski, co?

— Tyłu się tu ludzi zna — obojętnie zauważył knajpiarz.

— Jestem Pyzdraj — „Pod Słonem” na Pańskiej grałemu.

— Na Pańskiej?

— Tak. Mandolinista. Nazywają mnie Pyzdraj.

Restaurator nalał bez prośby kieliszek.

— A tak, owszem... No i jak tam?

— Żyje się...

Łyknął wódkę i zapytał:

— A tam — wskazał podbródkiem na kotarę — gra Ambroziak?

Niech pan powie, to mój kolega...

— Gra — lakonicznie odparł restaurator.

Nikodem wziął wykałaczkę w zęby i uchylił zielonego kretonu.

Tu było więcej osób, a orkiestra grała długo, widocznie na za-

mówienie.

Jednakże harmonista spostrzegł Dyżmę i gdy tylko skończyli tan-

go, zbliżył się ku niemu.

— Dobry wieczór, Pyzdraj.

— Dobry wieczór — odparł prawie wesoło. — Z tej okazji daj

pan większe piwo, panie Malinowski.

— No, jak przyszedł stary kompan — dodał harmonista — to daj

pan dwie z kropelkami.

Wypili.

— Interes macie? — zapytał Ambroziak.

Nikodem kiwnął głową.

— A wy teraz gdzie pracujecie?

— Ja — odparł po chwili wahania — et, na prowincji.

— Życie?

— Żyje.

— No, jak macie interes, to siądziem z boku.

Wzięli swoje kufle i poszli pod okno.

POZIOMO: 1) w habicie, 5) dawna broń kłująca, 10) pocisk podwodny, 11) jednostka programu radiowego, 12) kuzynka ary. 13) pułapka, 15) pomieszczenie w którym przechowywane są szaty i naczynia liturgiczne, 16) sędzia muzułmański, 19) pierwsze pływające zoo, 21) umowa normująca stosunki religijno-kościelne w danym kraju, 25) ten, który natknął się na zgubę, 26) spać, spuszcza, 28) postać męska z „Pana Tadeusza”, 29) lekka przezroczysta tkanina. 30) tytan dźwigający sklepienie nieba, 31) odpowiednik kompanii w kawalerii.

PIONOWO: 1) część morza wrzynająca się w ląd, 2) walczy z błędami, 3) pokraka, fajtlapa. 4) uchwyt ślusarski, 6) zwierzyniec niebieski, 7) postanowienie, 8) awanturnik, rozrabiacz, 9) przemowa z ambony. 14) sąsiad Lotysza, 17) broń jaskiniowców, 18) wyprawa krzyżowa, 20) figura geometryczna, 22) pracownia artysty, 23) reguła, 24) sfilmowana powieść Prusa. 27) pojedynek sportowy.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 29”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 23

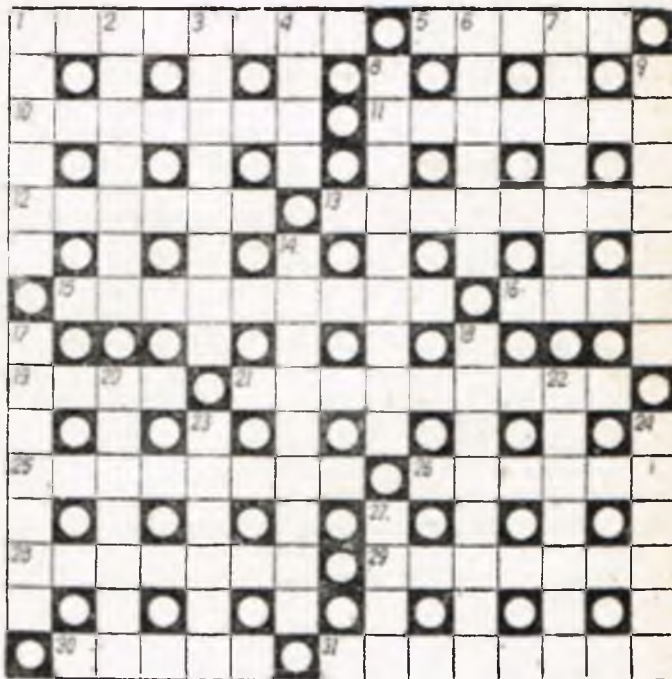
POZIOMO: sztandar, epoka, arteria, Akropol, górnik, batalion, sakrament, bank, Opty, pieczarka, kontener, skarpa, rozkwit, kofeina, fałsz, prognoza.

PIONOWO: Skarga, Tatarka, narciarz, Arab, parkan, kaplica, kazałnica, klinika, amfiteatr, konkurs, sarkofag, Tunezja, Karolino, serwis, nasada, Ika.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 19 nagrody wylosowali: Stanisława Gumuła z Krakowa i Bronisław Wójcik ze Szczepanowa.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 29



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa, Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych - instytucji i zakładów pracy - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych - indywidualnych prenumeratorków: - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorka. Wpłaty dokonują używając „bankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Księgarska i Wydawnictwo, ul. Towarowa 28, 00-938 Warszawa, konto NBF XV Oddział w Warszawie Nr 153-20145-139-11. Prenumerata za granicę wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: - od dnia 10 listopada do 1 kwietnia, 1 października roku następnego oraz cały rok następny; - do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiały nie zamówionych redakcji nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skrócenia materiału nie zamówionych. P20145, ul. Smolna 10, Niekład 25 000 Zam. 409. N-28.

KARIERA Nikodema DYZMY

Wypogodzony wyraz twarzy Boczka znikłby bez śladu, gdyby mógł on teraz odczytać myśli dawnego podwładnego.

— Tak panu powiem, panie Boczek, — zaczął Dyzma — przyjdź pan jutro i przynieś pan swoje papiery, wszystkie papiery, bo wystarczą się o taką posadę dla pana, to nie byle co. Trzeba będzie dużo nagadać się i wytłumaczyć, że pan potrafisz być zastępcą dyrektora.

— Serdeczne dzięki, nie pożałuję pan tego, panie Nikodem.

— Wiem, że nie pożałuję — mruknął Dyzma — teraz jeszcze jedno: ani słówkiem nikomu, bo na to miejsce amatorów ze sto będzie, rozumiesz pan?

— Juści rozumiem.

— No to fertig. Jutro o jedenastej.

Zapukano do drzwi i w progu ukazał się Krzepicki.

Boczek chytrze mrugnął do Dyzmy i skłonił się mu tak nisko, jak tylko pozwalała mu jego tusza.

— Najniższe uszanowanie panu prezesowi, będzie załatwione wedle rozkazu pana prezesa.

— Do widzenia, możesz pan iść.

Nikodem spostrzegł, że Krzepicki, udając zajętego trzymanymi w rękę papierami, spod oka obserwował znikającego za drzwiami Boczka.

— No, cóż tam, panie Krzepicki?

— Wszystko w porządku. Oto zaproszenie do cyrku.

— A prawda, idziemy.

— Dzwoniła jeszcze hrabianka Czarska, ale powiedziałem, że pan prezes zajęty.

— To szkoda.

— He, he, he! Rozumiem pana prezesa. Te panie Czarskie to fin-fin... W zeszłym roku...

Nie dokończył, gdyż do gabinetu wpadł, nie zamykając za sobą drzwi, pułkownik Wareda.

— Serwus, Nikuś! Gdzież to ciebie anieli noszą!

— Jak się masz, Waciu.

Krzepicki skłonił się i wyszedł.

— Wiesz, bracie — zawołał pułkownik — zaszedłem tu do ciebie, bo przyszło mi na myśl, czy nie wybrałbyś się do cyrku, dziś przyjechał, wiesz, ten Tracco, najsilniejszy człowiek świata, będzie walczył z naszym mistrzem Wielagą.

— Wiem, nawet wybieram się.

— A to klasa! — klepnął Dyzmę po kolanie. — Będzie cała paczka, Uszycki, Ulanicki, Romanowicz z żoną...

Odezwał się telefon.

— Halo!

Krzepicki oznajmił, że znowu dzwoni panna Czarska, czy połączyć?

— Dawaj pan... Halo!... Tak, to ja dzień dobry pani...

Zasłonił tubę ręką i szepną do Waredy:

— To hrabianka Czarska!

— Fiu... fiu... — pokręcił ten głową.

— Ależ nie przeszkadza pani. Wprost naprzeciw, bardzo mi przyjemnie.

Przytrzymał słuchawkę ramieniem i zapalił papierosa, którym go poczęstował pułkownik.

— Ależ, proszę pani, ja na literaturze nie znam się... Słowo honoru... A kiedy to?

— ... No, dobrze, dobrze... A jakże zdrowie siostrzyczki? Hm... Wie pani, i ja też, ale o tym przez telefon lepiej nie mówić... Co, do teatru? Eee... Wie pani co, czy nie chciałyby panie pójść ze mną do cyrku?... O nie, dziś walczy najsilniejszy człowiek świata... Jak? ... Wacek, jak się on nazywa?

— Włoch, Tracco... Nie, tu u mnie siedzi mój przyjaciel, Wareda...

— Nikuś, powiedz jej, że rączki całują.

— Rączki pani całuje... Będzie, a jakże... No, to dobrze się składa. Zajadę po panie moim samochodem... Do widzenia

Położył słuchawkę i uśmiechnął się.

— Ach te baby, te baby!...

— Pójdą? — zapytał pułkownik.

— Jeszcze by nie!

— No to chodź, jedziemy na obiad.

— Zabierzemy i Krzepickiego.

— Jak chcesz — zgodził się Wareda.

W restauracji spotkali Ulanickiego i od razu zrobiło się wesoło.

Bajka na dobranoc

Dlaczego człowiek żyje osiemdziesiąt lat

Jest taka słowiańska legenda o stworzeniu świata. Kiedy Pan Bóg stwarzał świat, chciał dać człowiekowi tylko trzydzieści lat życia.

— Ty będziesz królem całego mojemu stworzeniu — powiedział do człowieka — będziesz młody, zdrowy, piękny, krzepki, mądry i żyć będziesz lat trzydzieści!

Widziało się człowiekowi królowanie na świecie, ale mu się nie widziało takie krótkie życie. Nie powiedział jednak nic.

Po człowieku stworzył Pan Bóg osła i rzecze do niego:

— Ty będziesz się żywił najgorszym pożywieniem, a i tak rzadko będziesz syty; imię twoje będzie obelgą wśród ludzi, a będziesz im nosił największe ciężary i czynił różne usługi, których by im nikt inny nie uczynił. A jako nagrodę za to będziesz dostawał ciągi gdzie popadnie. A żyć będziesz lat trzydzieści!

— Panie Boże — odpowiedział osioł — skoro się mam tak męczyć, to za dużo dla mnie lat trzydzieści. Nie starczyłoby dziesięć?

— Zgoda, jeśli tak sobie życzysz — powiedział Bóg.

Na to się człowiek zakręcił, chrząknął i mówi:

— Dałbyś mi, Panie Boże, tych dwadzieścia lat, co ich osioł nie chce.

— A weź je sobie takie, jakie są! — odpowiedział Bóg.

Uratował się człowiek w sercu swoim, że zagarnął jeszcze lat dwadzieścia.

Następnie stworzył Pan Bóg psa i mówi do niego:

— Co tylko będzie nazwane twoim, tego masz bronić do utraty życia; szczekać będziesz na każde niebezpieczeństwo, kiedy je wyczujesz, a wyczuwać je będziesz z daleka: nie będzie dla ciebie ani snu, ani odpoczynku, nie zdążysz nigdy zjeść porządnie ni obiadu, ni kolacji. I wszystko to będziesz robić dla innych, nie dla siebie. A żyć będziesz też lat trzydzieści!

— Panie Boże — mówi na to pies — skoro mam żyć tak niespokojnie, to może starczyło by mi lat dziesięć?

— Z miłą chęcią, możesz sobie żyć lat dziesięć, jeśli tak chcesz — powiada Bóg.

A człowiek znów chrząknął i powiada do Boga:

— Dałbyś mi, Panie Boże, te dwadzieścia lat co psu zbywają.

— Daję ci takie, jakie są — rzekł Bóg.

I uradował się znów człowiek w sercu swoim, że tak sobie życie przedłużył.

Na koniec stworzył Pan Bóg małpę i powiada do niej:

— Będziesz bardzo podobna do człowieka,

ale nie będziesz człowiekiem, tylko małpą. Będziesz lazić po drzewach i skakać z gałęzi na gałąź; co robią inni, będziesz robić i ty, nie wiedząc nawet, co robisz. Żyć będziesz także lat trzydzieści!

— Panie Boże — rzekła małpa — starczy — starczy mi dwadzieścia lat takiego życia; trzydzieści to dla mnie za wiele.

— Niech będzie według twego życzenia! — odpowiedział jej Bóg. Ale i tu zaczął się człowiek drapać po głowie, chrząkać i obliźywać, a wreszcie powiada:

— Dałbyś mi, Panie Boże, tych dziesięć lat, co ich małpa nie chce.

— Daję ci je takie, jakie są — powiedział Bóg.

I uradował się człowiek jak małe dziecko, że sobie nabierał pełne osiemdziesiąt lat życia.

I tak to teraz, póki człowiek dożywa swoich ludzkich lat, od urodzenia do lat trzydziestu młody jest, zdrowy, piękny, krzepki, prawdziwy król wszystkiemu Bożemu stworzeniu. Od lat trzydziestu do pięćdziesięciu, kiedy się ożeni, napłodzi dzieci, zacznie pracować i trudzić się, żeby dojść do czegoś, żyje tak jak ten, na czyje lata się poślakomil. Od lat pięćdziesięciu do siedemdziesięciu mniej się dorabia, bardziej strzeże tego, czego się dorobił, szczeka jak pies na każde niebezpieczeństwo, które przewiduje, a przewiduje ich wiele. Żyje więc też jak ten, po którego lata sięgnął. Od lat siedemdziesięciu ręce mu się trzęsą, nogi pod nim chwieją, oczy niedowidzą, uszy niedosłyszą, pamięć nie dopisuje: człowiek zazwyczaj dziecinnieje i prawdziwie przypomina często tę, na której dziesięć lat na samym końcu nabrał ochoty.

Wybór i oprac. M. K.
z tomu legend „O Bogu, Jego sługach
i diabelskich sztuczках”, PIW 1985